MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY
POD REDAKCJĄ MIECZYSŁAWA TULEJI
WYDAWANY PRZEZ
AMERYKAŃSKO-POLSKĄ IZBĘ HANDLOWĄ

Rok drugi. *№ 3.* *Marzec 1924.*

TREŚĆ

	Str.
Jerzy Washington	*Frontispiece*
MIECZYSŁAW TULEJA — Wynaradawianie się Wychodźtwa Polskiego w Ameryce	5
INŻ. TADEUSZ WENDA — Port w Gdyni	7
DR. I. W. — Wilson i Lenin	10
DR. ALEKSANDER CZOŁOWSKI — Tradycje Marynarki Polskiej	13
STANISŁAW ARCT — Nasza Propaganda Zagraniczna	16
ST. LAUDYN-CHRZANOWSKA — Osteopatja, Nauka Nowa, Dziwna	18
TADEUSZ SKARŻYŃSKI — Frak czy Tużurek	20
Historja „Czarodzieja Elektryczności"	23
S. CENTKIEWICZ—Estetyka Książki Amerykańskiej	26
Kłopoty Forda ze Światem Żebraczym	28
SOKÓŁ — Jerzy Washington	29
Czego wymaga się od Kobiety w Ameryce	31
Uczony Amerykański o Naszej Sytuacji Finansowej i Ekonomicznej	32
S. M. T. — „Skandal" Naftowy w Ameryce	33
S. CENTK. — „Za Atlantykiem"	36
Kronika	38
Wiadomości Różne	41
Oferty i Zapytania z Ameryki	44
Z. KOCZOROWSKI — W Gościnie u „Wuja Sama" (ciąg dalszy)	46
M. H. SZPYRKÓWNA — Gwiazdy i Dolary (ciąg dalszy)	47

Przedruki dozwolone jedynie za podaniem źródła.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Nowy-Świat 74, (Pałac Staszica)
tel. 26-62. Konto w P. K. O. Nr. 7.136.
Redaktor przyjmuje we wtorki i piątki od 6 do 7.

Cena Numeru pojedyńczego 2.000.000 Mkp.

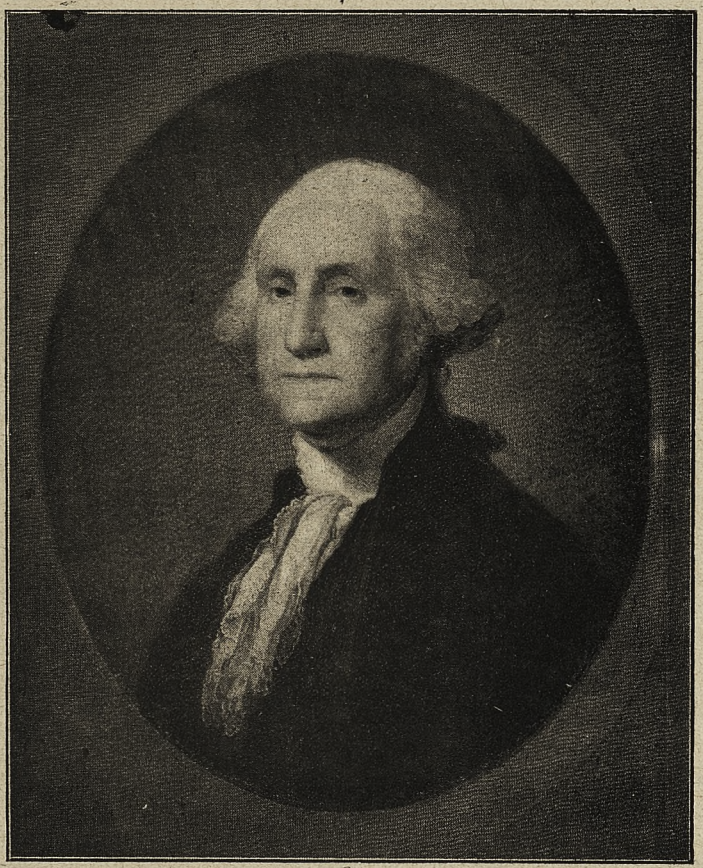

JERZY WASHINGTON

Pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych

* 22. II. 1732 — † 14. XII. 1799.

MIECZYSŁAW TULEJA.

Wynaradawianie się Wychodźtwa Polskiego w Ameryce.

Dla Polski sprawa utrzymania wśród wielomiljonowego wychodźtwa polskiego w Stanach Zjednoczonych silnego poczucia narodowego, możliwie najściślejszej łączności z krajem macierzystym i zapobieżenie w ten sposób choć w części naturalnemu procesowi wynaradawiania się—była i jest sprawą niezmiernie ważną, tak z punktu widzenia narodowego, jak niemniej czysto ekonomicznego.

Z punktu widzenia narodowego dlatego, że krajowi naszemu potrzeba jaknajwięcej energicznych i zdolnych rolników, robotników, rzemieślników, drobnych kupców i przemysłowców, którzy po powrocie z Ameryki, gdzie każdy przeszedł żelazną, doskonałą szkołę życia i pracy — znakomicie wzmocnią powstającą u nas dopiero klasę średnią społeczeństwa. Z punktu widzenia zaś ekonomicznego dlatego, że każdy z nich, jeżeli do Polski wróci, to w większym czy mniejszym zapasem uskładanego grosza, co umożliwi mu odrazu przystąpienie do założenia jakiegoś warsztatu pracy, podnosząc jednocześnie ogólny dobrobyt kraju. Jeżeli zaś emigrant wrócić do Polski nie zechce, to przynajmniej krewnym swoim będzie przysyłał stale coś ze swych oszczędności — a wiemy o tem dobrze, że tą drogą napływa do kraju z Ameryki po kilka miljonów dolarów rocznie, co też bez znaczenia nie jest.

Z drugiej strony jest rzeczą jasną, że ludzie ci do kraju wracać nie będą, jeżeli będą wiedzieli, że w kraju tym będzie im źle, że będą narażani na przykrości, szykany, jeżeli będą ich na każdym kroku oszukiwali i t. d. A i dolary przestaną przysyłać krewnym, jeżeli zaczną się w Ameryce masowo i szybko wynaradawiać.

Na dolegliwości te jest jedyne, zdaniem mojem lekarstwo, w postaci uporządkowania wszelkich spraw w państwie, żeby się w niem każdy obywatel czuł tak dobrze, jak w Ameryce. Jest to zupełnie możliwe, a nawet Polska ma ku temu więcej może danych, jak Ameryka — trzeba nad tem tylko usilnie pracować i jeszcze raz pracować.

Im szybciej umiejętną gospodarką stworzymy w kraju znośne warunki bytowania dla obywateli, tem prędzej zaczną do Polski wracać masowo rodacy nasi z za oceanu. Jeżeli uzdrowienie i unormowanie stosunków u siebie przeprowadzać będziemy niedołężnie i powolnie, to niedługo z przerażeniem stwierdzimy, że całe nasze liczne, dzielne i zasobne wychodźtwo w Ameryce dla kraju przepada i lada rok przepadnie zupełnie, bezpowrotnie, skutkiem wynarodowienia.

Tak, wkrótce wychodźtwo polskie w Stanach Zjednoczonych wynarodowi się!

Na to zapyta mnie kto:—dlaczego, jeżeli się w swej masie dotąd nie wynarodowiło, ma dopiero teraz, raptem wynarodowić się?

Odpowiedź na to prosta.—Do niedawna jeszcze (mniej więcej do roku 1913) Stany Zjednoczone potrzebowały ludzi do pracy i do zaludnienia olbrzymich przestrzeni kraju. Chętnie więc przygarniały niemal bez ograniczeń każdego przybysza, nie pytając kim on jest i skąd pochodzi, tylko, czy jest zdrów i czy chce i może pracować. Skutek takiej polityki Stanów Zjednoczonych był ten, że wśród całej masy innych obcych narodowości, stopniowo zjechało tam kilka miljonów polaków, którzy rozsiedlili się zwartymi masami w większych ośrodkach i miastach, zorganizowali, niekrępowani przez nikogo, własne polskie szkoły, parafje, kościoły, stowarzyszenia zawodowe i społeczne, teatry, przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe, czasopisma i t.d.—utrzymując tym sposobem swą odrębność narodową. To było główną przyczyną niewynaradawiania się polaków.

Od kilku lat jednak położenie zmieniło się radykalnie.

Najrozmaitsze związki i organizacje narodowe, a później już całe społeczeństwo amerykańskie zaczęło krzywo patrzeć na liczne rzesze obcokrajowców, którzy bardzo powoli względnie zupełnie się nie amerykanizowali. Rozpoczęła się, prowadzona na bardzo dużą skalę, agitacja, domagająca się kategorycznie od rządu jaknajszybszego i bezwzględnego zamerykanizowania wszyst-

kich obcokrajowców drogą stopniowego likwidowania ich kościołów, szkół, prasy etc., a przedewszystkiem przez zupełne wstrzymanie względnie zmniejszenie do minimum napływu nowych rzesz imigracji.

Sfery rządowe amerykańskie, podzielając zdanie swego społeczeństwa przystąpiły już do akcji amerykanizacji obcokrajowców na wielką skalę. Akcja ta prowadzi się sposobami najrozmaitszymi, o których tu pisać z powodu braku miejsca nie będziemy.

Oczywista, z punktu widzenia amerykańskiego stanowisko to jest zupełnie słuszne i nic mu od siebie zarzucić nie możemy.

Polska winna być wdzięczna Ameryce za to, że przez tyle dziesiątków lat przygarniała i dała możność egzystencji miljonom rodaków naszych, którzy z powodu biedy i braku pracy w kraju—pod rządami zaborców — musieli emigrować za morze. I jeżeli skutkiem tego nowego prądu amerykanizacji „przyspieszonej“ Polska utraci wkrótce na rzecz Ameryki bardzo duży procent swego wychodźtwa, to żałować tego nie powinniśmy. Niech ci nowi amerykanie pochodzenia polskiego żyją, pracują i rozmnażają się tam na chwałę i pożytek siostrzanej Rzeczypospolitej Amerykańskiej, od której Polska doznała tyle dobrego.

Nie możemy jednak dopuścić do tego, ażeby nam przepadło bezpowrotnie całe nasze wychodźtwo tamtejsze, bo dla Polski byłaby to strata zbyt poważna i zbyt bolesna. Musimy dla kraju uratować choć połowę, choć cząstkę tej przeszło trzymiljonowej rzeszy rodaków. Musimy cząstkę tą bezwarunkowo sprowadzić z powrotem.

Jak zwykle społeczeństwo w kraju nie orjentuje się dobrze „co się święci”. Samo jednak wychodźtwo nasze w Ameryce zaczyna się niepokoić i problem ten dyskutować.

Wychodzący w Chicago „Dziennik Ludowy“ w artykule p. t. „Kwadratura Koła” pisze:

„Gdyby polska emigracja w Ameryce miała charakter emigracji paryskiej, popowstaniowej, to kwestję bytu polskiego w Ameryce możnaby w powyższy sposób rozwiązać. Emigrant polsko-amerykański niestety nie przywiózł z sobą nieprzebranych skarbów polskiej kultury, któreby starczyły mu na zawsze i przekazane zostały dzieciom i wnukom—w dziedzictwie. Stąd też emigrantowi polsko-amerykańskiemu imponuje ogrom materjalnej kultury „nowego świata”, do tego stopnia, że uległby jej natychmiast, gdyby go puścić luzem, a nie przytrzymać w „polskiej dzielnicy“ przeciętnego amerykańskiego miasta.

Naturalny proces wynaradawiania się polaków w Ameryce nie da się żadnemi dostępnemi nam środkami unicestwić. Można go jedynie powstrzymać, można pokierować go takiemi drogami, aby trwał jak najdłużej, i by jak największe korzyści przyniósł Polsce i Ameryce. Typ obywatela amerykańskiego, żyjącego ideałami Lincolna, a niezapominającego że jest polakiem, w naszych warunkach tworzyć można jedynie w teorji. Problem jakiejkolwiek akcji w tym kierunku, staje się zagadnieniem kwadratury koła, naszymi środkami i przy użyciu faktycznego materjału, jaki mamy do rozporządzenia, pozostanie w praktyce nierozwiązalnym.

Nie zwalnia to nas z obowiązku trudzenia się nieustannie i uporczywie, aby uzyskiwać rezultaty, jak „najbardziej do ideału zbliżone”.

Słuszne to uwagi. Od siebie dodajemy jeszcze to, co się rzekło wyżej, mianowicie, że prócz naturalnego procesu wynaradawiania się polaków, który nie byłby może dla nas tak bardzo groźny — dochodzi proces sztuczny z niezłomnej i słusznej woli amerykan wynikły, wobec czego przybierze on tam teraz tempo daleko szybsze, prawdziwie amerykańskie, a wiemy że amerykanie marudzić nie lubią.

Z tego wszystkiego wniosek dla nas wypływa jasny: wychodźtwo polskie w Stanach Zjednoczonych musi uledz i ulegnie w niedalekiej przyszłości zupełnej amerykanizacji. Na to, żeby choć część jego dla Polski uratować jest tylko jedna, wyżej wspomniana droga: uporządkowania i uzdrowienia spraw krajowych, przedewszystkiem zaś skarbowych tak, żeby każdy obywatel mógł spokojnie, z pożytkiem dla siebie i państwa żyć i pracować. Wówczas dopiero polacy amerykańscy sami, bez agitacji zaczną do Polski wracać masowo.

W międzyczasie jednak społeczeństwo w kraju powinno uczynić wszystko, ażeby jaknajbardziej uodpornić wychodźtwo nasze w Stanach Zjednoczonych na zakusy amerykanizacji, co da się uczynić drogą podtrzymywania z niem możliwie najściślejszego kontaktu we wszelkich dziedzinach.

Musimy się jednak bardzo spieszyć i uskutecznić to wszystko zanim „młynek amerykanizacji” zdąży przemielić nam rodaków naszych na amerykan.

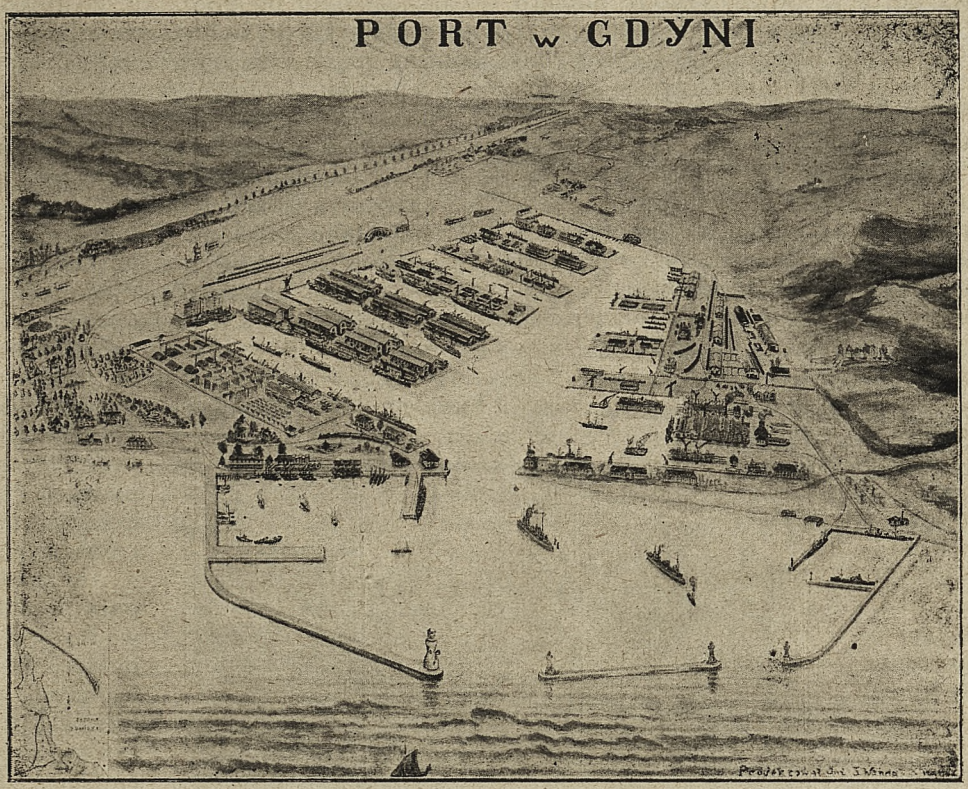

Ogólny widok Portu w Gdyni po wykończeniu obecnie projektowanych robót.

INŻYNIER TADEUSZ WENDA.

PORT W GDYNI.

Już budzi się do nowego życia uśpiony naród polski! Nie zrozumiał był kiedyś znaczenia morza, nie przytulił się do niego, nie zapuścił w niem korzeni, nawet w epoce siły i rozkwiktu, i dał się wyzyskać przez obcych.

To samo było kiedyś z handlem naszym. Analogja wyraźna. Nie mamy urodzonych marynarzy (nie mówiąc o kaszubach), nie mamy urodzonych kupców. Nie chodzi o jednostki, chodzi o dwa stany.

To też naród chroma, bo mu brak organów do życia. Odrobić to, co zaniedbano przez wieki, nie łatwo, ale zrozumienie sprawy przez ogół i wysiłek całego narodu mogą szybko naprawić stare błędy.

Pierwszym krokiem na tej drodze, gdy chodzi o nasz stosunek do morza, jest niezawodnie wybudowanie własnego portu i miasta portowego na własnem wybrzeżu morskiem. W ten sposób nietylko utorujemy sobie niezależną drogę do morza, lecz założymy nad morzem rodzimy ośrodek życia. Tu wychowamy całe pokolenie przyszłych polskich kupców i marynarzy, tu wybudujemy własne okręty, a na nich wozić będziemy towary nasze i emigrantów. To da nam nieobliczalne zyski pośrednie i bezpośrednie. Dopiero wtedy staniemy się narodem naprawdę niezależnym!

To też społeczeństwo polskie winno powitać z uczuciem prawdziwej radości uchwałę sejmową z dnia 11 marca r. b. i dążyć powinniśmy do tego, aby budowa portu w Gdyni była nietylko uchwalona, lecz również jaknajprędzej przeprowadzona. Ustawa bowiem o budowie portu w Gdyni uchwalona była przez Sejm już w 23 września 1922 r., lecz sposób wykonania tej ustawy nie odpowiadał jej treści.

Budowa portu w Gdyni wchodzi dopiero teraz w owocny okres czasu. Dotychczasowe prace około budowy tego portu, rozpoczęte w roku 1921 pod zarządem Departamentu Spraw Morskich Ministerstwa Spraw Wojskowych i kontynuowane od początku 1922 roku do końca 1923 roku przez Ministerstwo Przemysłu i Handlu, napotykały na nieprzezwyciężone przeszkody finansowe, jakkolwiek były prowadzone ze znaczną korzyścią dla skarbu. Do chwili obecnej, dzięki wytrwałej pracy, zdołano wybudować przystań długości 150 mtr. na 7-mio metrowej głębokości, molo długości 550 mtr. i falochron długości 170 mtr. Pozatem zbudowano wodociąg dla zaopatrzenia w wodę okrętów z wieżą ciśnień o pojemności 200 mtr.^{3}, elektrownię prądu zmiennego 220 380 w. o sile 90 K. W., warsztaty i tartak dla potrzeb gospodarczych budowy portu. Wszystkie powyższe budowle razem z administracją kosztowały skarb bardzo niewiele, a mianowicie: w r. 1921—194 milj. mk. pap., w r. 1922—390 miljonów mk. pap. i w r. 1923 — 16 miljardów 665 miljonów mk. pap.

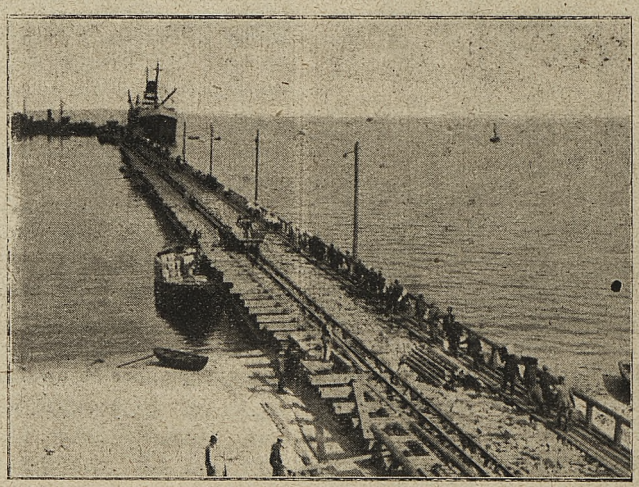

Duży statek francuski „Kentucky" przy molo portu w Gdyni

Konieczność budowy własnego portu była zrozumiana przez ogół polski nie zaraz po odzyskaniu Pomorza. Nawet trudne położenie, w jakiem znalazła się nasza Ojczyzna w roku 1920, podczas najścia na Warszawę bolszewików, nie obudziło nas z letargu.

Długo łudzono się myślą o wystarczalności Gdańska i starano się przekonać gdańszczan, że interesy ich idą po linji interesów polskich. Historja dawnych czasów wyszła nam z pamięci. Postępowaliśmy nielogicznie, sądząc, że miasto niemieckie, po 150 latach panowania pruskiego, okaże gotowość pójścia nam na rękę.

Po 4 latach przykrych doświadczeń ogół zaczyna dopiero teraz rozumieć złudę tych nadziei i oceniać całą doniosłość posiadania własnego portu.

Jasnem było od początku, że tylko Gdynia nadaje się do wybudowania portu, spotkaliśmy się jednak odrazu z dwoma innemi koncepcjami: budowy portów w Tczewie i Pucku. A zdaje się, że i dziś jeszcze w oczach ogółu idea budowy portu w Gdyni nie jest należycie zrozumiana. Ciągle jeszcze marzymy o Tczewie i Pucku.

Ramy tego artykułu nie pozwalają na szczegółowsze omówienie tej sprawy, wystarczy jednak zauważyć, ze budowa portu morskiego w Tczewie połączona jest z koniecznością budowy kanału morskiego przez terytorjum wolnego miasta Gdańska, a do budowy tego kanału moglibyśmy skłonić Gdańsk tylko siłą lub drogą zapewnienia mu korzyści, na które sami liczymy.

Ale budowa portu rzecznego w Tczewie oraz połączenie Tczewa z morzem za pomocą kanału rzecznego są racjonalne. Kanał taki skróciłby drogę wodną do Gdańska o 15 klm. Budowa tego kanału nie byłaby sprzeczną z interesami Gdańska, a zapewniłaby nam duże korzyści z chwilą uregulowania Wisły.

Wskazana wyżej druga koncepcja budowy portu — w Pucku nie odpowiada naszym najistotniejszym interesom gospodarczym i nie zasługuje na bliższą uwagę.

Co do Gdyni, to jako miejsce na budowę portu posiada ona tyle zalet technicznych, że wybór jej nie przedstawia trudności. Duże głębokości morza, charakter dna, dobre ukrycie, niezapiaszczanie, niezamarzanie, dobre warunki terenu i t. d. wszystko to przemawia na korzyść Gdyni, a najważniejsze jest to, że Gdynia położona jest najbliżej środka kraju ze wszystkich miejscowości naszego wybrzeża, i to stawia ją pod względem gospodarczym na pierwszem miejscu.

O żywotności Gdyni jako portu można już dziś wnioskować z tego faktu, że liczne firmy handlowo-ekspedycyjne jak: „Polbal", „C. Hartwig", „Związek Polskich Przemy-

słowców Naftowych", „Związek Kopalń Francuskich" wydzierżawiły place na terenie przyszłego portu i w tym roku już rozpoczną ekspedycję drzewa i wysyłkę emigrantów zagranicę. Próba pod tym względem, bardzo udatna, była zrobiona już w roku zeszłym przez wielki parowiec oceaniczny „Kentucky". Licznym innym firmom prywatnym, które zgłosiły się nieco później z prośbą o wydzierżawienie placów w Gdyni musiano odmówić, aby nie krępować zbytnio budowy portu, która ma się rozwinąć obecnie na większą skalę.

Ponieważ budowy portu skarb nie może prowadzić nadal we własnym zarządzie z powodu braku środków, ma być ona prowadzona przez przedsiębiorstwo prywatne, które w ciągu 5 lat ma ukończyć awanport, zbudować w nim duży basen 8-mio mtr. głębokości i pirs 300 mtr. długości, głębokości z jednej strony 8 mtr. a z drugiej strony 10 mtr. oraz 1 największy basen wewnętrzny głębokości 10 mtr.

Budowle te obliczone są na obrót roczny około 2,5 miljonów tonn i wykonanie ich da poważną część całości portu, przedstawionego na powyższym planiku.

Urządzenia portowe, jak: składy, mechaniczne środki wyładunkowe, tory kolejowe etc., będą wykonywane niezwłocznie po ukończeniu wybrzeży.

O tem, jak cudzoziemcy interesują się portem w Gdyni i jak uważnie śledzą pierwsze kroki stawiane przez nas na morzu, daje obraz doskonały artykuł informacyjny londyńskiego „Times'a" z dnia 7 marca r. b., tyczący się budowy portu w Gdyni. Tak rzeczowych informacji nie podało dotychczas żadne pismo polskie.

Roboty przy molo Portu w Gdyni.

Dr. I. W.

WILSON I LENIN.

Historja, która lubi czasem układać wypadki w sposób charakterystyczny, kazała niemal równocześnie umrzeć dwom wielkim mężom stanu, mieniącym się bojownikami tych samych haseł: demokracji i pacyfizmu.

W imię tych haseł odegrali obaj, Lenin i Wilson, tak doniosłą rolę w dziejach współczesnych, że działalność ich stanowi w ewolucji dzisiejszej ludzkości punkt przełomowy.

Jakaż była sytuacja przed wystąpieniem jednego i drugiego?

Rosja od szeregu wieków jęczała w najstraszliwszej i najbardziej poniżającej niewoli, jakiej nie znała ludzkość od czasu wschodnich despotów starożytności. Organizacja tego państwa czyniła z niego jedno wielkie więzienie, zamykające rosjan i inne ludy, ujarzmione w wojnach zaborczych. Rząd carski stosował system utrzymywania poddanych w jaknajzupełniejszej ciemnocie, wychodząc ze słusznego założenia, że wszelki promyk oświaty ujawni ludowi jego upodlenie i obudzi pragnienie wolności. Gdy więc z wiosną 1917 roku carat runął, zdawało się, że dla Rosji wybiła godzina swobody. Zaś reszta opierała swój byt polityczny na systemie t. zw. równowagi mocarstw europejskich, powstałej na trupie Polski, i wegetowała w atmosferze przesyconej elektrycznością coraz gwałtowniejszych zbrojeń, pod zmorą rosnącej hegemonji pruskiej. Aż równowaga zachwiała się i Europa runęła wraz z całym światem w otchłań kataklizmu wojennego. Ale wojna zamiast przynieść oczyszczenie zatrutej atmosfery, zapowiadała swym przebiegiem ostateczne zwycięstwo Niemiec i zaciążenie ich żelaznej potęgi nad całym światem.

W takiej chwili ster rządów ujął w Rosji Lenin, w Ameryce zaś przystąpił do czynu dotychczasowy prezydent Stanów Zjednoczonych Wilson.

Jako głośni teoretycy pewnych ideologji, wystąpili obaj z jasno określonymi programami. A programy te miały niejeden punkt styczny. Oba opierały się, jak się rzekło, na zasadach demokracji i pacyfizmu. Lenin miał lud rosyjski, upodlony wiekową niewolą, przywrócić do godności człowieczej, ustanawiając równość wszystkich obywateli, miał zerwać z ujarzmianiem sąsiednich narodów i wogóle z wojnami, miał wreszcie, wierny swej teorji socjalistycznej, uwolnić proletarjat od ciężaru kapitalizmu. Podobnie i Wilson chciał pognębić militaryzm, złączyć narody w wielki związek miłości, wykluczający jakąkolwiek wojnę, i przynieść wyzwolenie wszystkim uciskanym grupom i jednostkom.

Z podobnemi więc hasłami przystąpili do czynu rosjanin i amerykanin.

Działalności Lenina wystawia najlepsze, nieubłagane świadectwo dzisiejszy nastrój ludu rosyjskiego. Lud ten tęskni do czasów carskich. Oto jest okropny rezultat, do jakiego doszedł ten, który miał odegrać rolę zbawcy swego ludu, a który uczynił ze swego kraju dantejskie piekło krwi i głodu. I fałszywem byłoby twierdzenie, że Lenin doszedł do tych straszliwych wyników zwykłą tragedją ideologa, któremu życie wypacza najszlachetniejsze idee. Nie, — gdyż cała działalność Lenina, jako głowy państwa sowieckiego, była przekreśleniem jego dawniej głoszonych zasad: Lenin-pacyfista i wróg zaborczego imperjalizmu ujarzmił Gruzję i chciał ujarzmić Polskę. Lenin-demokrata obalił parlamentaryzm i zgniótł wolę ludu, stosując przytem ucisk może krwawszy od carskiego, Lenin-komunista przywrócił w swem państwie system kapitalistyczny. Zaś z programu został tylko młot i sierp w godle państwa sowieckiego...

Tym faktom nie może zaprzeczyć najgorętszy nawet zwolennik Lenina. Powie może, że wszystko to były tylko konieczne środki, którymi Lenin chciał osiągnąć swój wielki cel. Ale czy cel ten Rosja osiągnie? Czyż państwo sowieckie nie ustala się coraz silniej na dotychczasowych leninowskich zasadach? Owe rzekomo prowizoryczne środki przeradzają się coraz wyraźniej w trwały system.

A dzieło Wilsona? — Jest rzeczą ogólnie wiadomą, że zostało ono wykonane tylko w części. Ale najzaciętszy nawet przeciwnik Wilsona przyzna, że do celu swego dążył on wyłącznie drogą czystą i że zasad swych nie zdradził stosowaniem niegodnych środków.

A cel wytknął sobie podwójny: złamać militaryzm, w danym wypadku pruski (gdyż

on właśnie zagrażał wolności narodów), potem zaś narody te połączyć węzłem Ligi, któraby położyła kres wojnom.

Z dwu tych zadań pierwsze powiodło się wspaniale. Wilson, który w zgodzie ze swem sumieniem demokraty stanął po stronie Ententy dopiero wtedy, gdy biały carat już runął a czerwony jeszcze nie nastał, interwencją swą spowodował zwycięstwo nad Niemcami i uwolnił świat od bezpośredniego niebezpieczeństwa militaryzmu pruskiego. Ten czyn opromieniony wzniosłością jego „czternastu punktów", stanowi najchlubniejszą kartę działalności zmarłego prezydenta i on to zapewni Mu nieśmiertelność. Część ta jego dzieła powiodła się dlatego, że dokonał jej Wilson sam.

Ludzie zniekształcili mu za to w praktyce ideę Ligi Narodów. I jeżeli wielki idealista marzył o związku ludów, któryby stał się potężnem mocarstwem pokoju, to musiał patrzeć, jak Liga służy pewnym państwom za teren zabiegów dyplomatycznych, nie mających nic wspólnego ze szlachetnemi ideami Wilsonowemi. Wreszcie przyszło najgorsze i najboleśniejsze: własna jego Ameryka potępiła działalność swego prezydenta i odwróciła się od jego polityki. I to był koniec Wilsona.

Stało się więc, że Lenin umierał w tryumfie — nie swej idei wprawdzie, lecz swej polityki, — bo w chwili uznawania jego rządów przez zagranicę, zaś Wilson konał nieledwie w zapomnieniu...

Historja jednak i potomność sprowadzą obie te postacie do właściwej miary. Stwierdzą, że Lenin powiększył tylko szereg tyranów, którzy pastwili się nad ludzkością, Wilson zaś przyniósł jej w darze i pozostawił po sobie w spuściźnie coś nowego i pięknego.

Bo zmarły prezydent był może pierwszym mężem stanu, o którym można śmiało powiedzieć, że naczelnym agensem jego zamierzeń i postanowień był czynnik moralny. Wilson był naprawdę idealistą w swej działalności politycznej i to idealistą w najrzetelniejszem znaczeniu tego wyrazu.

Tak więc obaj zmarli mężowie stanu, każdy na swój sposób, nieśli ludzkości pokój i szczęście: Lenin wywodził się z duchowej dynastji mongolskiej Dżyngis-Chana, który według legendy wschodniej dlatego pustoszył Zachód ogniem i mieczem, by ukarawszy go za jego nieprawość, założyć wielkie królestwo pokoju; tymczasem niósł mord...

Natomiast duch Wilsona pochodził z zachodniego rodu sprawiedliwego Arystydesa i cesarza Tytusa, którego ludzkość nazwała swoim *„amor et delicies"*; ród ten chciał światu przysporzyć szczęścia krzewieniem sprawiedliwości i miłości bliźniego.

Dwa potężne narody tracą w Wilsonie i Leninie swych przewodników, którzy według marzenia Platona byli równocześnie myślicielami i naczelnikami państw. Ale tylko jeden z nich był pełnem urzeczywistnieniem idei greckiego filozofa, — drugi był tylko jej tragiczną parodją.

Myśli Amerykańskie.

Wybrał O. L.

Być kilka kroków przed współzawodnikami, oto jedna z najważniejszych tajemnic powodzenia; a tylko odblaski powodzenia pionierów są udziałem ludzi naśladujących.

Charles M. Schwab.

Wybitni przemysłowcy przyszłości, to ludzie, którzy potrafią najlepiej pogodzić ze sobą dwa przeciwne sobie naciski: nacisk ze strony robotnika o wyższą płacę i nacisk ze strony publiczności o niższe ceny produktów.

* * *

Mijają już czasy, kiedy zła organizacja przedsiębiorstwa równoważyła swe błędy specjalnymi dopłatami, ponoszonemi przez ogół konsumentów.

* * *

Przedsiębiorcy, przemysłowcy i kupcy to ludzie głoszący nowe pomysły, nowe poglądy, przewidujący tendencje jutrzejszego dnia. I szybkość ich pomysłów jest najlepszym sposobem przegonienia współzawodników na drodze powodzenia.

Enoch B. Gown.

Odezwa Komitetu Organizacyjnego Banku Polskiego.

Zapisy na akcje Banku Polskiego, przyjmowane przez wszystkie Oddziały Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej przy pomocy kilkudziesięciu banków polskich wraz oddziałami oraz licznych spółdzielni kredytowych, trwają już od miesiąca. W okresie tym Rząd stworzył zasadnicze warunki dla uzdrowienia obiegu pieniężnego, zrzekając się w drodze ustawodawczej dalszego druku marek na potrzeby Skarbu i oddając nadzór nad polityką emisyjną i kredytową P. K. K. P. w ręce utworzonej w tym celu Rady Nadzorczej, złożonej z czynników społecznych.

Wielka i rozstrzygająca walka o trwałą naprawę Skarbu, o uzdrowienie pieniądza polskiego rozpoczęta. Toczy ją całe państwo i społeczeństwo dla oparcia dalszego rozwoju swego gospodarstwa i bogactwa narodowego na zdrowej silnej podstawie, od której zależeć będzie zdrowie moralne, mocarstwowe stanowisko i szczęśliwa przyszłość narodu i państwa polskiego. O zwycięstwie rozstrzygnie wynik zapisów na akcje Banku Polskiego w ciągu najbliższych kilku tygodni.

Komitet Organizacyjny, przywiązując wielką wagę do spopularyzowania sprawy Banku Polskiego w szerokich warstwach społeczeństwa, zwraca się z wezwaniem do wszystkich organizacji obywateli polskich zarówno finansowych i zawodowych, jak i politycznych, społecznych, spółdzielczych, kulturalno-oświatowych, aby zechciały podjąć bezzwłocznie usilną propagandę w Sprawie Banku Polskiego, w zakresie im dostępnym, nie czekając specjalnych w tym kierunku próśb ze strony Komitetu.

Musimy zwyciężyć! Własnemi siłami musimy zbudować własny, niezależny, mocny, przez nas samych ufundowany Bank Polski. Komitet Organizacyjny wzywa ponownie całe społeczeństwo do jaknajwiększego wysiłku woli i czynu zbiorowego.

Komitet Organizacyjny Banku Polskiego

Stanisław Karpiński. Ks. Stanisław Adamski. Zygmunt Chrzanowski. Dr. Jan Kanty Steczkowski. Dr. Franciszek Stefczyk.

Wyciąg z warunków zapisów na akcje Banku Polskiego.

1) Głównem miejscem przyjmowania zapisów i wpłat na akcje Banku Polskiego są oddziały Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej. Pozatem przyjmują zapisy i wpłaty na rachunek Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej w charakterze pośredników te instytucje finansowe, które zgłoszą gotowość przyjmowania zapisów i otrzymają do tego upoważnienie od Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej.

2) Wpłaty na akcje Banku mogą być dokonywane:

a) monetami złotemi, które oblicza się podług równi monetarnej w stosunku do złotego (= frankowi złotemu), a zatem: 100 złotych = 100 frankom unji łacińskiej = 81 markom niemieckim = 37,5 rublom rosyjskim = 95,2 koronom austrjackim = 19,30 dolarom Stan. Zjedn. Am. = 48 guldenom holenderskim = 72 koronom skandynawskim = 3,965 funtom szterlingów. (Monety winny być nieuszkodzone i niestarte).

b) złotem w sztabach, opatrzonych próbą Głównego Urzędu Probierczego, przyczem jeden gram czystego złota przyjmuje się jako 3,444 złotego. (Złoto w sztabach przyjmuje się wyłącznie w Oddziale Głównym Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej w Warszawie).

c) walutami zagranicznemi i dewizami, t. j. banknotami zagranicznemi, oraz czekami i wpłatami na zagranicę, podług równi 100 zł. = 19,30 dolar. Stan. Zjedn.

Sumy, wniesione w funtach szterlingach, guldenach holenderskich, koronach szwedzkich, norweskich i duńskich, frankach szwajcarskich, francuskich i belgijskich, koronach czeskich i austrjackich, lirach włoskich i dolarach kanadyjskich, będą przeliczane na dolary Stan. Zjedn. podług kursu dnia na podstawie notowań giełd zagranicznych.

3) Zapisy, oraz wpłaty na akcje Banku będą przyjmowane do dnia 31 marca 1924 r.; Komitet Organizacyjny może jednak zamknąć listę zapisów wcześniej.

4) Należność za akcje do 25 sztuk winna być wniesiona jednocześnie z zapisem. Zapisujący się w oddziałach Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej na większą ilość akcji mogą przy zapisie wpłacić, oprócz całkowitej należności za 25 akcyj, 25% pozostałej sumy, resztę zaś winni wnieść przed 31 marca 1924 r., lub w terminie 10-dniowym po ogłoszeniu wcześniejszego zamknięcia zapisów.

Dr. ALEKSANDER CZOŁOWSKI.

TRADYCJE MARYNARKI POLSKIEJ.

Społeczeństwo nasze, zaczynające coraz żywiej interesować się sprawami morza i marynarki bardzo mało wie o tem, że młoda flota polska ma za sobą bogate tradycje i wspomnienia, sięgające połowy XV wieku.

W doskonałym artykule poniższym, napisanym specjalnie dla „Ameryki" przez znanego historyka, dyrektora Archiwum Miejskiego we Lwowie, dr. Aleksandra Czołowskiego — znajdzie czytelnik wiele mało znanych i bardzo ciekawych szczegółów, tradycji tych i wspomnień potyczących.

Red.

Marynarka, jaką usiłuje utworzyć odrodzona Polska — nie jest czemś nowem, nieznanem w jej dziejach. Młoda flota polska ma swoje tradycje i wspomnienia, które w daleką sięgają przeszłość i świadczą chlubnie, że i na morzu staraliśmy się iść w parze z innemi państwami, a jeżeli nie osiągnęliśmy tego rezultatu, co one, różne na to złożyły się okoliczności.

Od zarania swych dziejów, Polska rozwijając się terytorjalnie na dorzeczach Wisły i Odry, z biegiem tych rzek zwracała się ku Pomorzu t. j. ku morskiemu wybrzeżu Bałtyku. Ludy, zamieszkujące to wybrzeże, te same co w Polsce, ułatwiały jej dostęp i wzajemne zjednoczenie, na przeszkodzie jednak stanął zaborczy Zakon krzyżacki, który zwrócił się przedewszystkiem ku ujściom Wisły i brzegom Bałtyku i zagarnąwszy je, aż do połowy XV w. był panem i ciemiężcą nadmorskiej krainy. Długo gnębiona ludność pomorska zrzuciła w r. 1454 jarzmo krzyżackie i poddała się Polsce. Po trzynastoletniej wojnie z zakonem, Polska odzyskała Pomorze z Gdańskiem, Elblągiem i Malborgiem, stała się władczynią ujść Wisły, oparła się o morze. Gdańsk, który w tym względzie największe położył zasługi i ofiary, hojnie został wynagrodzony, ale niestety ze szkodą państwa. Kazimierz Jagiellończyk przywilejem z r. 1457 zrzekł się na jego rzecz sprawy niesłychanie ważnej, bo bezpośredniego wpływu na żeglugę morską. Oddał ją w ręce niezależnej prawie republiki kupieckiej, która w całej pełni potrafiła ją wyzyskać, ale wyłącznie dla siebie, paraliżując w następstwie wszelką akcję Polski.

Mimo całej samodzielności i potęgi handlowej Gdańska, mimo jego przywilejów i praw, uzurpowanych dla siebie wyłącznie na morzu, wypadki polityczne w ciągu XVI i XVII w. zmuszały Polskę i jej władców do bezpośredniego stanowiska w polityce morskiej. Polityka ta rodziła potrzebę tworzenia własnej wojennej floty na Bałtyku. Posiadanie jej okazało się dla Polski koniecznością. Bez floty obrona bałtyckich wybrzeży polskich, w razie najazdu od strony niezabezpieczonego morza, była wręcz niemożliwą, groziła Polsce utratą portu, blokadą Gdańska, zatamowaniem polskiego handlu.

Zabiegi w tym kierunku wznawiały się trzykrotnie w latach 1557 do 1637 i trzykrotnie chwilowo poważne osiągały rezultaty.

Po raz pierwszy za króla Zygmunta Augusta, gdy w r. 1561 poddały mu się Inflanty, rządzone dotąd przez Zakon kawalerów mieczowych. Poddanie to włożyło na Polskę obowiązek obrony Inflant a zarazem ciężkie zadanie — niedopuszczenia do brzegów morza Bałtyckiego rosnącej potęgi moskiewskiej. Stała się ona groźną już w r. 1558, gdy jej twórca, Iwan Groźny, zajął Narwę, wygodny port inflacki; przy Fińskiej zatoce.

Narwa, otoczona szczególniejszą opieką Iwana, już po kilku miesiącach zasłynęła jako pierwszorzędny punkt bezpośredniego handlu Moskwy z zachodnią Europą. Przez Narwę, drogą morską, Moskwa zaczęła się zaopatrywać nietylko we wszelkiego rodzaju materjały i przybory, potrzebne do walki, ale i w inżynierów i rzemieślników. Przy ich pomocy barbarzyńca Wschodu zapoznawał się z zachodnią sztuką wojenną. Nadto nowa ta droga handlowa pozbawiała Polskę pośrednictwa w handlu moskiewskim, który dotąd szedł głównie przez ziemie polskie.

Rozumiał dobrze Zygmunt August doniosłość tego faktu i następstwa grożące Polsce, więc nie szczędził zabiegów, aby zwrócić na nie uwagę całej Europy. Cesarz Ferdynand I wydał (1560) odezwę do wszystkich władców, aby w interesie chrze-

ścijaństwa wstrzymywali swoich poddanych od dowozu przez Narwę przyborów wojennych do Moskwy. Sam Zygmunt wydał w tym względzie zakaz swoim nadmorskim miastom, a zwłaszcza Gdańskowi. Wszystkie jednak zakazy nie osiągały celu, bo chciwi zysku kupcy nie zważali na nie. Tylko siła zbrojna na morzu, tylko flota wojenna, a tej Polska nie miała, mogła temu przeszkodzić.

Wśród takich okoliczności zrodził się plan, który, gdyby był miał odpowiednie warunki, moralne i finansowe, mógł był stać się podwaliną morskiej potęgi Polski. Oto Zygmunt August chwycił się systemu, jakim i inne posługiwały się państwa t. j. kaperstwa czyli zorganizowanego i uprawnionego korsarstwa morskiego przeciw okrętom nieprzyjacielskim lub przewożącym kontrabandę wojenną.

Kaprami nazywano prywatnych posiadaczy statków, którzy dobrowolnie jako ochotnicy zgłaszali się do jednej ze stron wojujących i podejmowali się na swój koszt i ryzyko, za cenę zdobyczy, utrzymywać straż na morzu i nie dopuszczać do przewożenia kontrabandy. Ochotnik taki otrzymawszy patent na kapra, miał prawo posługiwać się banderą tej strony, której służył, a zarazem na znak zależności od niej miał obowiązek składać jedną dziesiątą część zdobyczy na jej korzyść. Na tych również zasadach powstało i kaperstwo polskie na Bałtyku.

Myśl tego rodzaju obrony i utworzenia kaperstwa poddał pierwszy Zygmuntowi Augustowi w r. 1557, wacław Dunin Wąsowicz, sam je pierwszy zorganizował przy brzegach inflanckich i jako pierwszy polski kaper i polski marynarz wybitne oddał ojczyźnie usługi.

W r. 1561 ten system walki został rozszerzony na większe rozmiary, w czem główną rolę odegrał gdańszczanin, Maciej Scharping, mianowany przez króla starszym kapitanem. Obok niego nie brakło licznych innych ochotników, którzy nie mając nic do stracenia a wiele do zyskania, z chęcią podjęli się pod banderą królewską (ręka zgięta, dzierżąca szablę) utrzymywać straż na szlakach morskich wiodących do Narwy i brzegów szwedzkich. Przeważna większość tych ochotników była pochodzenia niemieckiego, głównie z Gdańska, więc i cały ustrój kaperski miał charakter niemiecki, chociaż niebrakowało i rybaków kaszubskich. Osobna Komisja królewska czuwała nad ich działalnością.

W ten sposób z kaprów powstała doraźna morska straż, „armata wodna" Zygmunta, która mając za podstawę port gdański przynajmniej częściowo czyniła zadość potrzebie obrony interesów Państwa na morzu. Pojawienie się Bandery polskiej, osłoniętej „powagą i imieniem króla", stwierdzającej prawa zwierzchnictwa Polski do morza, było dla wszystkich sąsiadów prawdziwą niespodzianką, budzącą zarówno zawiść jak i obawę.

Rola polskich kaprów, którzy już w r. 1563 rozporządzali kilkudziesięciu uzbrojonymi statkami nie wielkich rozmiarów, nie pozostała bez wpływu, znaczenia i rozgłosu. Przez szereg lat wyprawy ich we wszystkich kierunkach Bałtyku, pełne różnorodnych epizodów, szerzyły postrach zarówno na morzu jak pobrzeżach. System uprawiany przez nich miał wprawdzie charakter bardziej rozbójniczy niż wojenny, ale mimo różnych ujemnych stron, mimo nadużyć i gwałtów ze strony ludzi, którym przedewszystkiem chodziło o własną korzyść, rezultat tego rodzaju walki, oddał sprawie polskiej na Bałtyku wielkie usługi.

Największym wrogiem systemu kaperskiego okazał się Gdańsk, który Polsce tyle tylko przyznawał praw do morza „dokąd koń dopłynąć a kula armatnia dosięgnąć może". W kaperstwie widział ograniczenie swoich interesów handlowych, obawiał się represalji ze strony państw poszkodowanych przez działalność kaprów i chcąc być neutralnym wobec walczących stron, raz poraz zanosił protesty, skargi i prośby do króla o zniesienie tego rodzaju obrony morza, która tamowała mu handel i uszczuplała zyski. Zygmunt uznawszy, że Gdańsk w istocie ponosi straty, przeniósł kaprów do Pucka, ograniczył ich działalność i poddał kontroli, ale i to nie zadowolniło egoistycznego miasta.

Rozdrażnienie doprowadziło do gwałtu. W r. 1568 Gdańszczanie uwięziwszy pod błahym pozorem jedenastu kaprów, wszystkich ukarali śmiercią. Sprowadziło to groźny zatarg z królem i sejmem. Wysłana komisja pod przewodnictwem biskupa St. Karnkowskiego, przeprowadziła surowe śledztwo i opracowała dla Gdańska nowy statut, który między innemi zabezpieczał prawa króla i państwa do żeglugi na Bałtyku. Statut ów niestety nie wszedł w życie. Jedyna chwila, w której można było wzmocnić władzę polską nad morzem, zabezpieczyć do niego dostęp, minęła bezpowrotnie.

Przeniesienie karpów z ich „armatą wodną" z portu gdańskiego do niczem niebronionego Pucka, stało się jedną z przyczyn upadku obrony morskiej. Przeciwnicy jej w pościgu za kaprami zaczęli ich szukać aż tutaj. Uczynili to najpierw Szwedzi a następnie Duńczycy, którzy mimo przymierza z Polską, w kaprach widzieli dla siebie niebezpieczeństwo w zawiązku floty polskiej. Pragnąc go zniszczyć w kilkakrotnych wyprawach zatopili lub uprowadzili większą część statków kaperskich a kaprów wziętych do niewoli, jako rozbójników skazali na śmierć. Inna ich część w r. 1570 zaskoczona w zatoce Fińskiej przez eskadrę angielską pod admirałem Wiliamem Burroughem została uprowadzona do Narwy i oddana wojewodzie moskiewskiemu, który ośmdziesięciu dwu kaprów kazał natychmiast stracić. Los kaperstwa był przesądzony.

Zygmunt August widząc, że tą drogą nie dopnie celu, postanowił stworzyć stałą narodową flotę. Własnym kosztem zrobił początek, bo w r. 1570 kazał budować w Elblągu pierwszy wojenny galion t. j. duży dwumasztowy żaglowiec pojemności około 400 tonn. W chwili gdy go ukończono, zakończył Zygmunt życie (1572). Wbrew jego nadziejom okręt ów nie stał się zawiązkiem stałej polskiej floty wojennej, niewiadomo nawet jaki go los spotkał.

W czasie bezkrólewia Gdańsk, korzystając ze zniszczenia systemu kaperskiego, znowu zdobył sobie całkowitą swobodę żeglugi na Bałtyku. Mimo to, myśl ostatniego z Jagiellonów, aby utworzyć własną narodową flotę wojenną i prowadzić czynną politykę na morzu — nie pozostała bez wpływu. Zaczęto rozumieć jej znaczenie i doniosłość i odtąd każdemu z wybieranych królów wkładano obowiązek, że własnym kosztem ma wybudować taką flotę. Zaprzysiągł go Henryk Walezy, lecz panował niespełna pięć miesięcy. Zaprzysiągł go i Stefan Batory. W walce ze zbuntowanym Gdańskiem stworzył on w Elblągu znowu prowizoryczną flotę kaperską pod wodzą Piotra Kłoczewskiego, ale w rezultacie, wobec niebezpieczeństwa od Wschodu, musiał ustąpić, musiał znieść na zawsze system kaperski, unieważnić statut Karnkowskiego i politykę morską Rzeczypospolitej uczynić zależną od dobrej woli i chęci Gdańska, który własny tylko interes miał na oku. Batory upokorzywszy Moskwę zaczął wielkie snuć plany morskie, lecz śmierć przedwczesna zniweczyła je.

Sprawa floty wojennej odżyła ponownie, gdy na tronie zasiadł Zygmunt III ze szwedzkiej dynastji Wazów. Jak obaj jego poprzednicy i on przyjął na się obowiązek wystawienia floty. Przyjął go w nadziei, że dokona tego z łatwością, gdy w swojej osobie połączy oba królestwa Polskę i Szwecję, która znaczną, gotową, posiadała flotę. Nadzieje zawiodły. Szwecją zawładnął brat jego Karol, ks. Sudermanji. Dwukrotne morskie wyprawy Zygmunta na odzyskanie tronu przedsiębrane w 1593 i 1598 w towarzystwie wielu panów polskich skończyły się tragicznie. Unja Polski i Szwecji przepadła. Tron szwedzki nietylko zajął Karol, ale wypowiedział Polsce wojnę (1600), aby pozbawić ją Estonji i Inflant. Obrona ich a zarazem odzyskanie utraconego tronu stają się odtąd celem życia i osią polityki dynastji Wazów, która sprowadziła na Polskę szereg długich i ciężkich wojen.

(D. n.)

STANISŁAW ARCT.

Nasza Propaganda Zagraniczna.

Dużo się mówi i pisze o niedostateczności tak zwanej „propagandy" naszej zagranicą. Zwykle kierownik propagandy oficjalnej jest związany z jakiemś ugrupowaniem politycznem, nadającem w danej chwili ton poczynaniom rządu, więc jak bywa w naszych warunkach, jest człowiekiem pierwszej klasy dla prasy pokrewnej barwy, skończonym zaś niedołęgą dla przeciwników. Stan faktyczny nie odgrywa przeważnie żadnej roli, a jeżeli idzie o skutki rzeczywiste—to wogóle możnaby je stwierdzić, po dłuższej, przynajmniej kilkoletniej, działalności konsekwentnej, jednolitej i wykonywanej przez tych samych ludzi zarówno na stanowiskach kierowniczych jak i wykonawczych, a szczególniej na placówkach zagranicznych.

Wartoby się jednak zastanowić nad samą istotą „propagandy zagranicznej" i nad celowością naszych poczynań w tym kierunku. Otóż propaganda jest to poprostu działalność zmierzająca do wytworzenia nastroju w pożądanym kierunku tak, by cele którym służy mogły być osiągnięte. Celem obecnej propagandy zagranicznej Polski jest przedewszystkiem przedstawienie jej światu jako odrodzonego państwa mającego nietylko prawo do życia i cel istnienia, ale i środki moralne i materjalne do samodzielnej i pożytecznej egzystencji; a następnie uzyskanie od obcych tego, czego nam do tej egzystencji i do rozwoju naszego życia potrzeba, a czego nie możemy zdobyć wewnątrz kraju, i to zarówno pod względem politycznym, finansowym, gospodarczym, jak i w sprawach ducha, wiedzy i sztuki.

Sam wyraz „propaganda" jest obecnie mocno zdyskredytowany z tego powodu, że podczas wojny miał znaczenie ciasne a ścisłe: była to działalność związana z samą wojną i polegała na staraniu o wciągnięcie do niej kogoś po swojej stronie, albo na niedopuszczeniu do udziału w walce po stronie przeciwnej. Naturalnie nie przebierano w środkach i dlatego określenie „propaganda wojenna" np. w Ameryce, gdzie niemcy uprawiali ją zajadle przez lat parę, jest synonimem agresywności, przekupstwa, nielojalności, szpiegostwa i działalności antypaństwowej. W najnowszych czasach bolszewicy nadają tej nazwie taki sam silny a nieprzyjemny koloryt, i dlatego państwa przyzwoicie propagujące swoje sprawy powinnyby chyba ogłosić konkurs na zmianę nazwy dla imci *propagandy*, a potem zgłosić ją do jakiego urzędu patentowego dla ochrony od podrabiania i fałszowania etykiet.

Na razie używa się wyrazu „informacja", co nie jest słuszne, gdyż pokrywa tylko część pojęcia i stanowi wprawdzie bardzo ważną czynność, ale nie najważniejszą, chociaż obecnie dominującą. Będę więc używał dalej zdyskredytowanej wprawdzie, lecz cały ród ludzki obejmującej nazwy aż do czasu, gdy kto z Czytelników zaproponuje jakie ładne spolszczenie, niebardzo językołamliwe dla cudzoziemców, a wtedy ochrzcimy pannę *Propagandę* jak należy i ogłomy w „Monitorze".

Do niedawna dla amerykanina były trzy źródła wiedzy o Polsce: Kościuszko (czasami wymawiany aż „Kaskajasko"), i Pułaski—rycerze, uosobienie szlachetności, odwagi, ale będący ostatnimi swego gatunku, który prawdopodobnie zginął doszczętnie razem z niepodległością, to starożytność zamierzchła; chłop polski zajmujący jeden z niższych szczebli w hierarchji robotniczej, wcale lub słabo mówiący po angielsku, w którego masie ginęła znikoma garstka rodzimej inteligencji z kraju, często umyślnie starająca się jak najmniej uwidaczniać—to teraźniejszość, niezasługująca na bliższą uwagę. I na tem tle najpierw Modrzejewska a potem i w sposób stokroć mocniejszy—Paderewski. Paderewski otwierający dusze amerykańskie z równą łatwością cudnemi dźwiękami fortepianu, czy potęga swego słowa, skończony gentleman o nadzwyczajnych formach towarzyskich, a wreszcie orędownik wielkiego narodu, który potrafił nagle wyczarować na ziemi amerykańskiej kilka miljonów zorganizowanych polaków. Do jakiej kategorji go zaliczyć? między Kościuszkę i Pułaskiego nie wypada, a zresztą to „*extinguished tribe*". Zwyczajny polak? Broń Boże, zupełnie co innego. Nareszcie. Jest! Widocznie u polaków poza rycerzami i robotnikami istnieje jeszcze specjalny gatunek ludzi, a tymi są „wielcy artyści". Oni to są uosobieniem wszystkiego najwyższego, co się w człowieku po-

winno znajdować, a Paderewski jest przedstawicielem tego ideału...

Gdy Paderewski mówił o Polsce, słuchano go żarliwie, a jak skończył, młodzi i starzy, biedni i najbogatsi, cowboy'e i ministrowie szli, aby jego dłoń uścisnąć.

I często, zupełnie przeciętny amerykanin mówił mi: „pan polak, o tak, ja wiem, Paderewski jest polak, ja byłem na jego koncercie, on mi rękę podał, Paderewski jest wielki, Polska musi być *all right.*"

To właśnie jest skuteczna propaganda! tak zrobić żeby każdy mówił, że Polska musi być *all right.*

Otóż pytanie, jakimi środkami najłatwiej osiągnąć taki skutek?

Najlepiej osiąga się go przez jednostki wybitne, które dzięki zbiegowi okoliczności mogły się dać poznać na gruncie obcym, a przez specjalne „powinowactwo" (w sensie chemicznym) do charakteru środowiska zyskały popularność. Nie jest to jednak sposób najłatwiejszy, bo trzeba czekać sto lat zanim się okoliczności złożą tak szczęśliwie.

Ale, jeżeli powiemy, że jednostki takie są objawem Ducha Narodu, czyż my nie mamy szeregu innych wybitnych objawów Ducha, któreby okazały równie silne powinowactwo do dusz obcych, a mogły być zastosowane do propagandy, choć właściwe osoby nie miały sposobności stać się popularnemi zagranicą?

Odpowiedź musi wypaść twierdząco. A przykład mamy doskonały i świeżutki w Ossendowskim. Jego książka „Przez Kraj Bogów, Ludzi i Zwierząt," więcej zainteresowała amerykan Polską niż tysiące najprzychylniejszych odczytów i artykułów. Każdy, kto ją przeczytał w Stanach Zjednoczonych — a jest to tam obecnie najpoczytniejsza książka — wie dwie rzeczy: że autor, którym się zachwyca jako charakterem i pisarzem — jest polakiem, i że ta Polska do której on tęsknił i dążył przez pustynie, to musi być wielka rzecz. I zaczyna się interesować Polską, dowiaduje się co to za zwierzę, inaczej patrzy na swych sąsiadów polaków immigrantów, i jak złapie artykuł o Polsce, to go nie odrzuci z grymasem, lecz przeczyta od deski do deski.

Wogóle tajemnicą powodzenia propagandy jest wzbudzenie zainteresowania. Bez tego nie pomogą największe sumy, sztaby najlepszych urzędników, i najsolidniej pisane wypracowania. Trzeba Polskę przedstawić najpierw od strony zajmującej i ciekawej: można się bawić w dodawanie komentarzy i odpowiadanie na pytania, można opowiadać czem byliśmy, jesteśmy i będziemy, ilu nas jest, a ile produkujemy wosku ziemnego, co są granice z r. 1772, a co to był Kongres Wiedeński — lecz najpierw trzeba stworzyć takich, którzy by chcieli słuchać, czytać i pytać.

I w tym przedewszystkiem kierunku, wzbudzenia zainteresowania powinny być skierowane wysiłki wszelkich instytucji zajmujących się propagandą zawodowo czy przygodnie (te ostatnie także chciałyby, zawodowo, ale, niestety, mają wprawdzie czas, lecz nie mają pieniędzy, a wbrew przysłowiu „time is money" jedno drugiego nie zastąpi). Trudno, trzeba iść po linji najmniejszego oporu i dawać ludziom to, co im sprawia przyjemność, co ich wzrusza lub co im imponuje. Potem dopiero można ich uczyć.

A więc: wystawy pierwszorzędnych obrazów i rzeźb, turnee teatralne i baletowe, koncerty polskie zaciekawią ogromnie. Dobre, o ile możności zwycięzkie, reprezentacje sportowe na głównych igrzyskach zwrócą uwagę młodzieży i sportsmenów. Podróże wybitnych uczonych i wykłady w obcych uczelniach spopularyzują naukę polską. A wreszcie środek bodaj najważniejszy — literatura piękna.

Wyszła kiedyś w Ameryce niewielka książeczka dla młodzieży w języku angielskim p. t. „Thadeus of Warsaw" (Tadeusz z Warszawy); nic specjalnego, ale z werwą napisana, mająca dużo łezki. Każdy, kto ją przeczytał, a było dużo takich chłopców, do tej pory ma sympatję dla Polski i jej walk o niepodległość.

Mamy w naszej literaturze arcydzieła, których żadna z najwspanialszych cywilizacji by się nie powstydziła. Puśćmy je w świat w tłomaczeniu na język francuski a zwłaszcza angielski, dajmy obcym poznać naszą duszę w jej najlepszem zwierciadle. Porwijmy czytelników amerykańskich czy hinduskich temperamentem naszych pisarzy, wzruszmy sentymentem, niech przeżywają bohaterskie momenty naszej historji, niech wznoszą się na wyżyny koncepcji filozoficznych.

Naturalnie nie wszystko, co jest piękne dla nas, będzie zajmowało obcokrajowca. Utwory, które zamierza się tłómaczyć trzeba wybierać ze znawstwem przedmiotu, i znajomością duszy społeczeństwa, dla którego książka ma być przeznaczona, trzeba to robić ostrożnie i powoli, ale robić trzeba.

Jednem słowem: niedość jest informować, trzeba jeszcze stworzyć tych, którzy będą chcieli być informowanymi.

ST. LAUDYN-CHRZANOWSKA.

OSTEOPATJA—NAUKA NOWA, DZIWNA.

W kraju, chwytającym każdy odruch myśli nowych do realizacji i do próby życia, z napiętą uwagą i gotowością wsłuchującym się, co mówi postęp, co mówią nowe wynalazki, błyski wiedzy poszukującej — zjawiają się na powierzchni życia wciąż prądy i usiłowania, zdążające do łagodzenia losu człowieka, naprawy jego bytu, zdrowia, szczęśliwości, pracy etc.

Przed ćwierć wiekiem mniej więcej wyłoniło się w Stanach Zjednoczonych usiłowanie nowe w kierunku reformy lecznictwa, lepszej obrony człowieka przed chorobą i słabością. Kierunek nowy wziął za punkt wyjścia kość pacierzową człowieka, jako ośrodek nerwów w ich drogach rozbierznych po ludzkiem ciele. Próba zdobycia nowego sposobu działania na organizm człowieka przez manipulowanie ręczne tego ośrodka i dalszych nerwowych węzłów, rozgałęzień oraz połączeń stawowych — wyszła ze strony znakomitego lekarza, doktora medycyny, wieloletniego praktyka, który będąc zniechęcony małą wydajnością dotychczasowego leczenia wogóle, zaczął z entuzjazmem zgłębiać i propagować nową metodę swą, odrzucającą wszelkie lekarstwa wewnętrzne, uznającą jedynie chirurgję, jako środek ostateczny, często konieczny. Nowa metoda zyskała wyjątkowy posłuch odrazu i zastęp oddanych zwolenników. Przyznać trzeba, że reklamowała się sama skutkami nadzwyczajnemi, naprawą zdrowia i sił prędką, radością — niosącą uczucie otuchy, energji, mocnej nadziei w wypadkach nawet beznadziejnych — zdawało się.

Inicjator założył wkrótce pierwszą większą szkołę osteopatji, bo tak nazwaną została nauka nowa od wyrazu łacińskiego — kość i kości manipulowanie. Uczniowie mogli do niej wstąpić nieinaczej, jak po 2—3 latach nauki w uniwersytetach, na wydziale medycznym, studjując specjalnie anatomję i następnie przechodząc do szkoły specjalnej założyciela na lat 3. Z amerykańską decyzją i szybkością działania wzięto się do dzieła. Wkrótce zastęp lekarzy-osteopatów, leczących wszystkie choroby, nawet tuberkuły w początkach — manipulowaniem, naciskiem kości i ośrodków nerwowych, krwionośnych — stanął przed publicznością amerykańską, wzywając ją do swych gotowych, otwartych już dla chorych gabinetów. Puszczono w świat broszury i całą literaturę, objaśniającą cel, metody i leczenie wogóle, obiecujące ogromną skuteczność leczenia, podniesienie siły życiowej, odporności na choroby, wzmożenie energji i radości życia. Medycyna urzędowa patrzała z początku na całą tę sprawę z uśmiechem wyrozumiałości i lekceważenia, mimo że raz po raz i coraz częściej przekonany lekarz-aleopata porzucał praktykę medyczną i przechodził do obozu poszukiwaczy dróg nowych. Obojętność jednak sfer lekarskich, miarodajnych przełamaną została zdumiewająco rosnącą popularnością lekarzy nowych. Zareagował wtedy urząd lekarski, kwestjonując prawo praktyki osteopatów i sprawa cała poszła pod orzeczenie sądów stanowych. Walka była trudna i ciężka, trzeba było zdobywać opinję obywateli i decyzje sądów w każdym stanie z osobna, gdyż mają one niezależną autonomję własną. Zwyciężano stopniowo wszędzie, ale ileż trzeba było energji, wytrwałości, czasu i zabiegów. Przyznano nareszcie prawo praktyki swobodnej osteopatom w stanach wszystkich, podkreślając jednak nieużywanie lekarstw żadnych, których osteopaci zresztą i sami nie uznają.

Jednocześnie toczyła się walka w prasie nieustępliwa, bez przerwy, zaś szkoły powstawały jedne po drugich, liczba osteopatów rosła, praktyka zagarniała całą prawie inteligencję i klasy zamożne. Rezultaty leczenia przekonywały najoporniejszych. Pamiętam w pierwszych latach pobytu mego w Ameryce, gdy serce dawało mi się coraz dotkliwiej we znaki i napróżno rozglądałam się za jakąś specjalną kuracją, której w Ameryce niema, spotkałam wypadkowo amerykankę, która przyjechała w chwilową gościnę do pensjonatu, w którym mieszkałam. W rozmowie o zdrowiu po raz pierwszy zaczęła mi mówić o osteopatji, o której nie słyszałam nigdy i o cudach uzdrowienia przez nią dokonywanych. Namawiała mnie gorąco, abym spróbowała, gdyż Chicago ma najlepszych specjalistów w tym zakresie. Opierałam się namowom stanowczo, gdy jednak stan zdrowia wciąż się pogarszał wraz z rosnącą depresją moralną, po-

stanowiłam zaryzykować. Była to próba bogata w następstwa dobroczynne. Lekarz aleopata, który został osteopatą z przekonania — zabiegami swemi podniósł znakomicie sprawność mięśnia sercowego, usunął nerwicę, dziwnie ożywił siłę życiową, przywracając utraconą werwę, humor, pogodę. Odtąd osteopatja ratowała mnie zawsze, gdy zapadałam na zdrowiu, ona dawała mi siły do pracy wyczerpującej, broniąc od chorób poważnych. Gdy grasowała w Stanach straszna hiszpanka, kosząc śmiertelnie i masowo młode życia, stwierdzono cyframi, iż najmniejszy % zgonów dało leczenie osteopatją. To też rozgłos leczenia tego wyrósł niemal w potęgę, gabinety lekarzy dziś są przepełnione, mimo iż kuracja to kosztowna, gdyż zamiast siedzieć w domu i prowadzić przepisane leczenie, udawać się trzeba co dwa lub trzy dni do gabinetu lekarza, by leżąc na stole poddawać się jego manipulacjom osobistym. Lekarze renomowani zwykle mają swych zastępców i pomocników, gdyż sami podołać pracy nie mogą. Wizyta taka kosztuje zwykle 2 do 3 dolarów, a szereg osób zapisanych czeka kolejki swej w poczekalni.

Głośnem było w prasie amerykańskiej uzdrowienie niewidomego od lat wielu. Fotografje, opisy, nazwiska podawane były szczegółowo, cała historja głęboko poruszyła opinję. Pacjent był beznadziejnie ociemniały, doznał przed laty paraliżu nerwów wzrokowych. Osteopata, działając na ośrodki nerwowe, przywrócił im stopniowo życie i siłę, zaczem oczy nieszczęśliwego otworzyły się na światło dzienne. Równie głośnym był wypadek uzdrowienia porażonych strun głosowych u znanej śpiewaczki i przywrócenie utraconego głosu. Bezwład rąk, nóg, ciężkie bóle głowy, anemję, nieprawidłowy obieg krwi, zaburzenia trawienia, wątroby, newralgję, bóle stawowe leczy osteopatja znakomicie, sięgając do źródła samego choroby i je usuwając. Dziś osteopatja w Ameryce stoi narówni z medycyną, prześcigając już rywalkę praktyką i skutkami. Rozwija się wciąż, pogłębia, ma swe szpitale, lecznice. Starzy i młodzi wzywają zabiegów jej nie tylko w chorobach ale przeważnie w zdrowiu, aby umocnić organizm i podnieść jego żywotność. Ignacy Paderewski używa stale osteopatji, jej zawdzięczając swe niezmożone siły. Gdy wyczerpany i chory przyjechał do Ameryki z Polski, oddał się w ożywcze zabiegi osteopatji, im zawdzięczając odzyskaną świeżość, dzielność, zapał i pogodę. Europa mało bardzo jeszcze zna osteopatję, wszelako stolice Zachodu mają już praktykujących osteopatów, ale w znikomej liczbie. Polonia w Chicago posiada paru osteopatów-polaków, boją się oni jednak wrócić do Polski, przypuszczając, iż nie uzyskają prawa praktyki. Nauka ta zdaje się mieć wielką przyszłość przed sobą i obiecuje dobrodziejstwa nieznane ludzkości, jakiemi już dziś darzy Amerykę w sile zwłaszcza ekspansji życiowej i radosnej mocy życia i działania.

Starajmy się z żywymi naprzód i bez lęku iść.

◈ ◈ ◈

Myśli amerykańskie

Minęły czasy, gdy wyobraźnia była uważana przez ludzi interesu, jako talent potrzebny tylko poetom, malarzom i muzykom. Dziś ludzie z wyobraźnią to kierownicy miljonowych organizacji gospodarczych.

* * *

Pieczone gołąbki tylko w bajce lecą same wprost do gąbki. W rzeczywistości musisz naprzód wyszukać gołąbka, umieć go zastrzelić, potrafić przyrządzić i upiec, nim zaczniesz go zajadać. I podobnie ma się rzecz z interesami.

Daniel Guggenheim.

Prędkie i dokładne informacje są najlepszymi czynnikami powodzenia.

James H. Hill.

Naukowe kierownictwo przedsiębiorstw, jest to, jak sama nazwa wskazuje, kierownictwo oparte na wiedzy, na faktach zbadanych, a nie na poglądach gołosłownych robotnika, majstra czy nawet samego zarządu przedsiębiorstwa.

V. Peck.

Wielcy ludzie w przemyśle i handlu, to nie jacyś czarodzieje, lecz zwykli pracowici i wytrwali robotnicy. *Theodor Vail.*

Fot. „National Geographic Magazine".

Mauzoleum Lincolna w Waszyngtonie.

TADEUSZ SKARZYŃSKI.

FRAK CZY TUŻUREK.

(Amerykanie — duże dzieci. — Prostota i szczerość. — Celebrujący Polak. — Robienie poważnych rzeczy w sposób dziecinny i dziecinnych w sposób poważny.—Brak zrozumienia psychologji amerykan oraz ich metod postępowania. — *Business* a życie towarzyskie. — Umiejętna propaganda na rzecz Polski. — Jadąc do Ameryki, zostawcie tużurek w domu).

Polacy, a przynajmniej ci, którzy znali amerykan tylko z rezultatów ich pracy, byli bardzo zdziwieni zachowaniem się licznych przedstawicieli Nowego Świata podczas ich wizyt w Polsce. Szczególniej często słyszało się na ten temat różne uwagi, które wskazywały na to, że amerykanin u nas jest jako charakter i temperament zupełnie nieznany. Pamiętam, jakie zdumienie opanowało poczciwych mieszkańców Krakowa, skoro zobaczyli, że jeden z najwybitniejszych członków Amerykańskiej Delegacji Ekonomicznej kazał się fotografować obok cudacznie ubranego portjera czy szwajcara jednej z miejscowych restauracji. Niemałe też zdziwienie wywołało wśród poważnych łódzkich fabrykantów wystąpienie zbiorowe tej samej amerykańskiej delegacji na urządzonym na jej cześć obiedzie: w pewnej chwili kilku gości zaintonowało wesołą pieśń, którą inni podchwycili i, nie zwracając uwagi na otoczenie, na obcą do pewnego stopnia publiczność—dośpiewali do końca. Nawet na oficjalnem przyjęciu w poselstwie amerykańskiem nie mogli wytrzymać poważnego nastroju, jaki starano się nadać temu zebraniu. Jeden z gości wyciągnął gdzieś gramofon i, zaprosiwszy najbliższą sobie damę, zaczął tańczyć. Polacy naogół byli tem zgorszeni. „Jak można — mówili — tacy poważni ludzie, a zachowują się jak

żaki". Niektórzy pobłażliwie uśmiechali się.

Ci jednak z nas, którzy byli w Ameryce i widzieli amerykan u siebie, wiedzą dobrze, że tak samo zachowują się oni i tam, a może nawet z naszego punktu widzenia jeszcze bardziej gorsząco. Dla nas jest to zupełnie zrozumiałe, ponieważ zdajemy sobie sprawę z ich natury.

Amerykan nazwał ktoś dużymi dziećmi. I w tem jest wiele prawdy. Są oni istotnie jak duże dzieci: posiadają ich prostotę, ich szczerość, nie mają natomiast ich zakłopotania lub nieśmiałości. Amerykanin zawsze wie, czego chce, zdaje sobie sprawę z tego, co mu się podoba, a co nie. Jest otwarty, ale pewna wrodzona delikatność, której się u niego zwykle nie spodziewamy, chroni go od brutalności

Ta właśnie prostota pozwala amerykanom na nieliczenie się zupełne z otoczeniem. Skoro jest wesół, to musi tę wesołość wyładować w jakiś sposób. A już zupełnie go nie obchodzi, co sobie ktoś o nim pomyśli. Jest poważny tam, gdzie jego zdaniem trzeba być poważnym, a wesołym tam, gdzie uważa że już na powagę niema miejsca czy czasu.

Z nami jest trochę inaczej. My jesteśmy zawsze poważni, czy potrzeba, czy nie. Artykuły w naszych pismach są zwykle poważne, a przynajmniej mają taką tendencję. Odczyty nasze są poważne, poważne są również wszelkie przemówienia, nawet w rozmowie staramy się zachować powagę bez względu na temat. Uważamy, że na humor jest miejsce tylko w specjalnych teatrach, lub na pewnych zebraniach towarzyskich. A jeżeli już przystępujemy do interesów, czy to do jakiej pracy o charakterze społecznym, to należy zapomnieć o nim i być bezględnie poważnym. I dlatego też najlepszem określeniem naszego sposobu pracy byłoby słowo „*celebrowanie*".

Na zwykłe zebranie korporacji czy stowarzyszenia przychodzi się jak do kościoła. Na odczycie siedzi się, jak na kazaniu. Nawet toasty wygłasza się, jak mowy pogrzebowe.

Słyszałem przemawiającego prezydenta Wilsona w Detroit na Kongresie Organizacji Handlowych. Obok niego przemawiali ludzie tacy, jak Schwab, Brisbane, Ingersoll i Chalmers. Sala wszystkim im przerywała, oklaskami lub śmiechem. Bywało tak, że mówca musiał przerwać swe przemówienie, bo sala śmiała się tak głośno, że słowa jego ginęły. Zresztą on sam bawił się nie mniej od słuchaczów. A nie mogę powiedzieć, aby poruszane przez mówców tematy były niedość poważne. Przeciwnie mówiono tam i decydowano o rzeczach, które robiły i robią Amerykę wielką i mocną.

Ale dla człowieka nieznającego natury amerykan mogło to wyglądać jak zabawa, a nie poważna praca. Dopiero rezultaty pokazywały co to było. Było to robienie rzeczy poważnych w sposób, jaki my uważamy za niepoważny. U nas bardzo często z całą niezwykłą pompą robi się w poważny sposób rzeczy, które, o ile sądzić po rezultatach, były niepoważne.

Mentalité amerykan jest inne od naszego. U nas poważność zadania wymaga powagi w postępowaniu, w Ameryce to nie jest wcale regułą. Najpoważniejsze sprawy decyduje się nieraz w sposób prawie wesoły. Niezwykle poważne rozmowy prowadzi się przy partji golfa, a bardzo wiele interesów o wielkiej doniosłość i nawiązuje się w klubie lub podczas *week end party* w okolicach Nowego Jorku.

I dlatego życie towarzyskie a raczej rozwinięte stosunki towarzyskie są pierwszym warunkiem powodzenia na gruncie amerykańskim. Oczywiście przedewszystkiem mam na myśli cudzoziemców, którzy zciągają z całego świata do Ameryki dla pewnych zysków osobistych, czy to tych ugrupowań, które ich wysłały.

Aby amerykanin zaczął z nami rozmawiać o sprawach, które nas do niego sprowadziły, musimy być „*properly introduced*". Przyjście do niego „z ulicy" nie wystarczy. Nie wystarcza również oficjalna rekomendacja. Jest ona dobra tylko wtedy, skoro pochodzi od przyjaciół tych amerykan.

Jeżeli jedzie do Ameryki człowiek tej miary, co Clemenceau, to może sobie pozwolić na wszystko. Wszystkie drzwi są dla niego otwarte, wszystkie oczy są na niego zwrócone, a skoro przemówi, słuchają go wszyscy. Skoro jednak jedzie do Ameryki ktoś, powiedzmy z ramienia naszego rządu, kto nie posiada nazwiska znanego w Ameryce, to musi się liczyć z tem, że pierwsze jego kroki napotkają na wiele przeszkód. Ze zdziwieniem, a nieraz ze zgorszeniem przekona się, że jego „oficjalne" wystąpienia przechodzą bez wrażenia, że nie jest on wcale tym człowiekiem, który wszędzie ma posłuch, człowiekiem, z którym się liczą. I myśli sobie, że temu winna Polska. Zbyt małe stanowisko zajmuje wśród innych państw i dlatego jej

przedstawiciel jest tylko „tolerowany". I w tem, niestety, jest pewna racja.

Ale właściwa przyczyna leży gdzieindziej. Nam się wydaje, że wystarczy, skoro przyjedziemy, pokazać zaświadczenie naszego rządu, że delegowano nas w takiej a takiej sprawie, aby to nam otworzyło drzwi i uszy wszystkich, z kim pragniemy mówić. Zbyt dużo znaczenia przypisujemy naszej oficjalnej roli, a niedość osobistej zręczności i stosunkom.

Weźmy np. taką sprawę, jak propaganda na rzecz Polski w Ameryce. Trzeba sobie powiedzieć, że nigdzie bodaj nie mamy tak nieprzychylnej prasy, jak tam. Może tylko w Niemczech. Nie pochodzi to, rzecz prosta, z braku sympatji u amerykan, ale z braku umiejętnego i stałego wysiłku w tym kierunku. Wszelkie próby normowania i urabiania opinji publicznej przez t. zw. biuro prasowe nie dały pomyślnego rezultatu, bo założenie było z gruntu fałszywe. Biuro prasowe jest instytucją oficjalną. A to już wystarcza, aby mu niebardzo dowierzano. Wiadomości muszą pochodzić ze sfer neutralnych, ze sfer, które nie mają tego wyłącznie w swym programie. Zresztą jak dotąd, prowadzący owe biuro prasowe nie mieli wstępu tam, gdzie decyduje się, w jakim tonie przemawiać czy pisać o danym kraju. Mogli pisać sprostowania, zaopatrywać pisma amerykańskie w artykuły o Polsce, ale nic z tego nie wyszło w druku. Wystarczyłoby jednak, aby ktoś nie posiadający na sobie stempla rządu mógł przez swe osobiste stosunki towarzyskie poznać się z takimi ludźmi, jak Munsey, Swope, Pulitzer, Hearst, Reed czy Simonds, aby znaleźć sposobność do sprostowania całego szeregu niedorzecznych wiadomości, otrzymanych via Berlin, i wyrobienia sobie tam „dobrej prasy", powtarzam to raz jeszcze, jest rzeczą niesłychanie trudną uzyskać posłuchanie u ludzi stojących na takich stanowiskach, a już „sprzedanie im Polski" podczas krótkiej oficjalnej rozmowy jest absolutną niemożliwością, ale przy partji golfa czy na proszonym obiedzie urządzonym przez naszych osobistych przyjaciół amerykan, łatwiej jest znaleźć sposobność dłuższej rozmowy i przekonać „możnych tego świata" o prawdzie tego, co im chcemy narzucić.

Pewien amerykanin, który zrobił wielką fortunę na ubezpieczaniu na wypadek śmierci różnych amerykan, tak wytłómaczył swe powodzenie: „Zrobiłem pieniądze, ponieważ zawsze zwracałem się tam, gdzie były duże zasoby. Namówienie miljonera na ubezpieczenie się na 100.000 dolarów jest łatwiejsze, niż namówienie drobnego urzędnika na ubezpieczenie się na 1000 dolarów. I dlatego zawsze szukałem zamożnych, bo przy tym samym wysiłku energji i przy tej samej stracie czasu, zarobki moje były nieskończenie większe. I aby się poznać z tymi bogatymi ludźmi nie żałowałem pieniędzy, ani na dobry klub, ani na obiad w najlepszej restauracji".

I tak samo należy postępować, jeżeli chce się osiągnąć w Ameryce poważne korzyści dla kraju w kierunku propagandy, czy też inne korzyści bardziej materjalne. Trzeba starać się dotrzeć do ludzi stojących na wysokich stanowiskach w świecie, do którego chcemy trafić.

Nie trzeba obawiać się, że to drogo kosztuje. Mieszkanie w hotelu „Plaza" czy „Ritz" nie kosztuje drożej niż w „Astor" lub „Commodore," a śniadanie dane w „Union Club" jest nawet tańsze niż w restauracji. Ale trzeba mieć kogoś, ktoby nas do tego klubu wprowadził i zapisał na czas pobytu. Trzeba mieć swego „*parrain*" w Ameryce, i to nie jednego, ale kilku.

Jeżeli się jedzie do Ameryki w sprawie załatwienia pewnych ważnych rzeczy, to trzeba nietylko posiadać odpowiednie stosunki na miejscu, ale trzeba umieć je w odpowiedni sposób wyzyskać do naszych celów. Nie należy zbytnio ufać swym „listom uwierzytelniającym". Należy je mieć jedynie w celu ułatwienia sobie podróży, szczególniej przy przejeżdżaniu granic.

Oficjalny tużurek należy pozostawić w domu, a ze sobą wziąć tylko marynarkę na dzień i frak na wieczór.

Historja „Czarodzieja Elektryczności".

Jak już donosiliśmy o tem w zeszycie grudniowym „Ameryki", dnia 26-go października 1923 r. zmarł w mieście Schenectady, w stanie Nowy Jork, dr. Karol Proteusz Steinmetz, naczelny inżynier doradczy firmy „General Electric Company", światowej sławy matematyk, uczony i elektrotechnik, ogólnie znany w Stanach Zjednoczonych, jako „Czarodziej Elektryczności".

Ze względu na to, iż zmarły odegrał bardzo wybitną rolę w rozwoju amerykańskiego przemysłu elektrotechnicznego, i że w żyłach jego płynęła krew polska, podajemy poniżej krótki życiorys tego ciekawego człowieka, opracowany przez Konsulat polski w Bufallo, a otrzymany przez nas dzięki uprzejmości Wydziału Amerykańskiego Min. Spraw Zagr. — **Red.**

Dr. Karol P. Steinmetz urodził się we Wrocławiu, dnia 9-go kwietnia 1865 roku. Chociaż pochodził z ojca i matki, uważanych za niemców, w żyłach jego płynęła krew polska, a wychowanie otrzymał z rąk babki i ciotki, które były rodowitemi polkami. Pradziadek jego bowiem mieszkał w mieście Ostrowie, a dziadek Karol Steinmetz ożenił się z polką z rodziny Gaweńskich. Karol Henryk Steinmetz, jeden z trzech jego synów, a ojciec zmarłego elektrotechnika, będąc z zawodu litografem wywędrował do Wrocławia w ślad za swym starszym bratem, a po jego śmierci ożenił się z pozostałą po nim wdową Karoliną Steinmetz z domu Neubert. Ze związku tego przyszedł na świat syn Karol August Rudolf. Podczas epidemji cholery w r. 1866 matka Karolina umarła, a wychowaniem syna zajęła się babka i ciotka przybyłe z Polski.

W latach dziecięcych okazywał młody Steinmetz małe zamiłowanie do nauki, a szczególną trudność stanowiło dla niego wyuczenie się na pamięć tabliczki mnożenia. Po ukończeniu szkół elementarnych, a następnie gimnazjum klasycznego, wstąpił w r. 1882 na uniwersytet wrocławski, gdzie studjował matematykę, astronomję, chemję, fizykę, ekonomję i języki nowożytne, a między tymi i język polski. Podczas studjów uniwersyteckich brał bardzo czynny udział w stowarzyszeniach studenckich. W życiu tem otrzymał imię „Proteusza", które tak polubił, że nawet po opuszczeniu uniwersytetu podpisywał się jako Karol Proteusz Steinmetz zamiast Karol August Rudolf.

Przekonania polityczne Steinmetza nie zgadzały się z duchem ówczesnego monarchicznego rządu niemieckiego. Ruch socjalistyczny, który rząd niemiecki prześladował ze szczególną bezwzględnością, w zupełności pozyskał serce Steinmetza. Podczas bytności na uniwersytecie, należał zmarły do organizacji socjalistycznych, brał w nich czynny udział, a nawet pisywał artykuły do pism socjalistycznych. Za jeden taki właśnie artykuł został on wraz z innymi socjalistami zaaresztowany przez władze. Wprawdzie prokuratorja z powodu braku dostatecznych dowodów musiała puścić go na wolność, to jednak postanowiła oddać go pod sąd uniwersytecki, który miał się odbyć na krótki czas przed jego ukończeniem studjów i otrzymaniem dyplomu. Sąd ten nie wróżył nic dobrego Steinmetzowi. Mając to na względzie młody akademik postanowił umknąć za granicę, co też uczynił przy pomocy swego przyjaciela, mieszkającego nad granicą austrjacką. Z Austrji wyjechał do Zurychu, gdzie, zarabiając lekcjami i pisaniem, kończył studja na tamtejszej politechnice.

Podczas pobytu w Zurychu Steinmetz zaprzyjaźnił się z pewnym studentem z Ameryki, Oskarem Osmussen, który dopomógł mu przedostać się w r. 1889 do Stanów Zjednoczonych. W dwa tygodnie po przybyciu do Stanów Zjednoczonych, otrzymał on zajęcie w charakterze kopisty w fabryce „The Osterheld and Eichmeyer Co.", produkującej motory elektryczne, w mieście Yonkers, N. Y. Z biegiem czasu zajął w tejże firmie stanowisko inżyniera-konstruktora, a następnie stanął na czele kierownictwa laboratorjum firmy w Nowym Jorku. Idąc za radami Steinmetza, firma Eichmeyer'a udoskonaliła motor elektryczny, który następnie został poraz pierwszy zastosowany do trakcji tramwajowej. Prace Steinmetza na polu elektrotechniki były

już wówczas znane, a artykuły pisane uzyskały mu poważanie w amerykańskich kołach fachowych. Wybitne badania przeprowadził Steinmetz nad: magnetyzmem, a mianowicie wynalazł prawa określające straty w żelazie poddanem zmiennej indukcji magnetycznej; udowodnił, że histeryza zmienia się w stosunku prostym do 1.6 potęgi fluksji magnetycznej. Zadania te dopomogły do dokładnego określenia strat w armaturze motorów elektrycznych, generatorów i transformatorów i innych aparatów elektrycznych budowanych z żelaza. Rezultatem tych badań było udoskonalenie maszyn elektrycznych, dzięki czemu została waga i cena ich znacznie zredukowana.

W roku 1892 wielka firma „General Electric Co." zakupiła fabrykę Eichmeyer'a, zaś Steinmetzowi zaofiarowała stanowisko zastępcy kierownika w oddziale kalkulatorskim. Praca i prowadzone przez niego badania zyskały mu u nowej firmy całkowite uznanie, a w r. 1893 nadano mu tytuł „naczelnego inżyniera doradczego" i postawiono go na czele oddziału badań i udoskonaleń, mieszczącego się przy zakładach tej firmy w mieście Schenectady, N. Y.

Prace badawcze Steinmetza dokonane w pracowniach firmy „General Electric Company", mają ogromną wartość dla przemysłu elektrotechnicznego. Podczas pierwszej dekady zastosowania elektryczności do wytwarzania światła i siły (r. 1880—1890) używano wyłącznie prądu stałego, który był podstawą tak dla żarowego systemu Edison'a, łukowego systemu Thompson-Houston'a, jak i systemu Vanderpool oraz Sprague, używanego przy motorach tramwajowych. Prawa regulujące dopływ prądu stałego były proste i łatwe do zrozumienia. W czasie, gdy Steinmetz objął posadę w General Electric Co., zaczęto przeprowadzać doświadczenia nad użyciem do powyższych celów prądu zmiennego. Ogromna trudność w poznaniu jego technicznej natury, sposobu działania i innych różnych zjawisk z jego działaniem związanych, tamowała zastosowanie tegoż do celów przemysłowych. Elektrotechnik, który nawet dobrze znał prawa prądu stałego, bez bliższej znajomości praw prądu zmiennego, nie mógł obliczyć motoru, któryby pędzony był przez prąd zmienny. O ile zagadnienia dotyczące budowy aparatów jako też samego działania prądu stałego mogły być rozwiązywane przy zastosowaniu prostych metod matematycznych i algebraicznych, to natomiast zagadnienia dotyczące aparatów i działań prądu zmiennego, który posiada takie zjawiska, jak: reakcję, pojemność, prądy przewodnie i opóźnione, zmiany fazowe i t. d., nie mogły być zrozumiane nawet przez zdolnych matematyków, znających dobrze zasady wyższej matematyki. Badaniem tych nieznanych dla ówczesnego świata elektrotecznicznego praw prądu zmiennego zajął się z wielką energją Steinmetz i w krótkim czasie osiągnął odnośne rezultaty. Udowodnił, że prawa prądu zmiennego mogą być określone przez zastosowanie złożonego rachunku różniczkowego.

Powyższe badania Steinmetza przyczyniły się do udoskonalenia generatorów, motorów, transformatorów, wyłączników, aparatów świetlnych, ogrzewniczych i elektrochemicznych.

Praca twórcza Steinmetza wyraża się liczbą przeszło dwustu wynalazków, opatentowanych przez firmę General Electric Co., a do najważniejszych należą: regulator indukcyjny; metody przemiany faz, np. przy zamianie prądu dwu fazowego na trzy fazowy; łukowa lampa metaliczno-elektrodowa i t. p.

Dzięki doświadczeniom dokonanym przez Steinmetza na polu oświetlenia łukowego, wynaleziony został łuk magnetyczny, przy zastosowaniu którego, metaliczne elektrody mogą palić się przez 200 godzin gdy tymczasem węglowe wytrzymują tylko 70 godzin. Steinmetz przeprowadził również korzystne badania nad łukiem rtęciowym. Rozwój więc powyższych rodzai oświetlenia elektrycznego w znacznej części można przypisać Steinmetz'owi.

Sławę światową zyskał sobie również Steinmetz badaniami przeprowadzonemi nad własnościami pioruna i przez wynalezienie motoru, który może sztuczne wytwarzać pioruny. Prąd elektryczny zwany „piorunem" nie płynie bez przerwy, jak naprzykład prąd zmienny lub stały, lecz działa tylko przez pewien okres czasu. Uderzenia piorunów wyrządzały ogromne szkody przewodom prądu zmiennego o wysokiem napięciu i nad zabezpieczeniem ich myślał od dłuższego czasu cały tutejszy świat elektrotechniczny. Zanim można było wymyśleć coś, coby służyło za ochronę dla przewodów elektrycznych trzeba było najpierw poznać cechy samego pioruna. Największego odkrycia i na tem polu dokonał Steinmetz, gdyż dowiódł tak zwane przejściowe zjawiska. Wkrótce potem zbadano również, że szkody

nie są wyrządzane przez sam piorun, lecz przez odwrotną siłę powstającą w maszynie elektrycznej, która pod wpływem działania pioruna wyłamuje się z pod kontroli stałego systemu elektrycznego. Dzięki odkryciom Steinmetz'a wynaleziono sposób zabezpieczenia przewodów i prąd zmienny o wysokiem napięciu można teraz przenosić na dalekie odległości. System przeprowadzania prądu zmiennego o napięciu 220,000 woltów, budowany przez firmę General Electric Co., został opracowany pod przewodnictwem Steinmetza.

Z powyższego widzimy, że prace twórcze Steinmetza przyczyniły się głównie do zbadania i rozwoju głównych zasad a nie zastosowania ich do celów praktycznych, to jednak śmiało powiedzieć można, że bez tych doświadczeń przemysł elektrotechniczny nie stałby na tak wysokim poziomie na jakim się obecnie znajduje.

Prócz doświadczeń dokonywanych w laboratorjach firmy General Electric Co., Steinmetz zajmował się również wykładaniem elektrotechniki na uniwersytecie i pracą literacką na temat przeprowadzanych doświadczeń. Przez szereg lat wykładał on inżynierję elektrotechniczną w „Union College", jako też był profesorem elektrofizyk w „Union University" w Schenectady.

Za swe odkrycia i prace naukowe Steinmetz został odznaczony tytułem honorowego doktora filozofji przez Union College, a przez uniwerstytet „Harvard" tytułem „Master of Arts".

Steimentz zajmował również wybitne stanowiska w różnych stowarzyszeniach elektrotechnicznych i ogólno oświatowych. Był więc swego czasu prezesem Narodowego Stowarzyszenia Szkół Korporacyjnych; wice-prezesem Międzynarodowego Stowarzyszenia Miejskich Elektrotechników; prezesem Amerykańskiego Instytutu Elektrotechników; prezesem Stowarzyszenia Inżynierów Oświetleniowych i członkiem wielu innych stowarzyszeń, mających na celu rozwój wiedzy i przemysłu elektrotechnicznego.

Nadto Steinmetz brał stale czynny udział w życiu społecznem. Był niegdyś prezesem Rady Miejskiej i prezesem Wydziału Edukacyjnego miasta Schenectady.

Po przybyciu do Ameryki Steinmetz nie porzucił swych poglądów socjalistycznych, lecz je nieco zmodyfikował i dostosował do tutejszego życia społecznego. Popierając ruch socjalistyczny i przyjmując czynny udział w partji głosił przekonania, że kapitał jest jedną z głównych podstaw ogólnego dobrobytu, i że tylko pewne zasady socjalizmu mogą być korzystne dla ogółu.

Pomimo tak wielkiej siły intelektualnej, Steimetz w życiu swem okazywał pewne objawy dziwaczności. Naprzykład zrzekł się swej pensji jako głównego inżyniera doradcy firmy „General Electric Co.", a podnosił z kasy fabrycznej tylko tyle, ile mu potrzeba było na skromne bardzo utrzymanie, tak, że, gdy umarł, pozostawił po sobie jedynie mały domek i samochód.

Posiadając figurę niekształtną, gdyż był garbatym i wyjątkowo nizkim zwykł był spędzać całe dnie i wieczory w pozycji stojącej lub też klęcząc na stołku i podpierał się łokciami, paląc bez przerwy cygara. Nigdy więc prawie nie widywano Steinmetza siedzącego i bez cygara w ustach. W stosunku do obcych, był nader grzeczny, uprzejmy i prosty. Szczególną cierpliwość okazywał przy tłómaczeniu swych zawiłych zasad i doświadczeń osobom mniej od siebie pojętnym.

Na krótko przed śmiercią udał on się w podróż nad Pacyfik w celach wypoczynku. Podczas tej podróży był jednak zmuszony przemawiać na różnych zebraniach elektrotechników, którzy korzystając ze sposobności, chcieli go osobiście widzieć i słyszeć. Liczne przemówienia ogromnie nadwyrężyły i tak już słaby organizm Steinmetza. Po powrocie musiał położyć się do łóżka i w chwili, gdy doktorzy już przepowiedzieli mu rychłe wyzdrowienie — umarł nagle na serce, na które już od dłuższego czasu chorował.

Amerykańscy Przyjaciele Polski

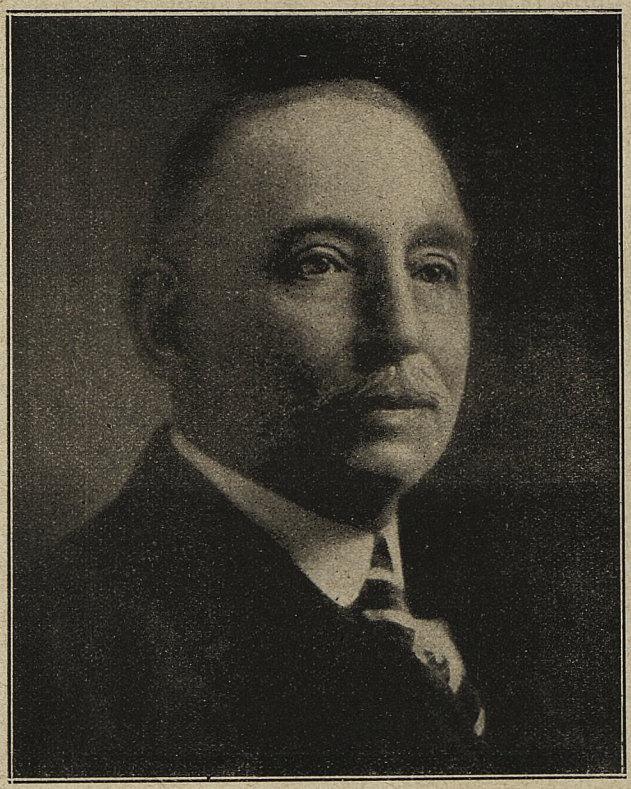

EDWARD PRIZER
Jeden z Dyrektorów Amer.-Polskiej Izby Haudlowej w Nowym Jorku,
Prezes Zarządu Centrali „Vacuum Oil Company" w Nowym Jorku.

ST. CENTKIEWICZ.

Estetyka Książki Amerykańskiej.

Z pojęciem ruchu wydawniczego w Ameryce łączy się u nas wyobrażenie o olbrzymiej ilości wydawanych dzieł, o olbrzymim rynku księgarskim, jednak rzadko kiedy wspomina się o uwzględnianiu strony estetycznej w wydawnictwach amerykańskich. Należy więc tutaj stwierdzić, że na formę wydawnictwa, jego druk, papier, przystosowanie do treści oddawna już zwrócono tam należytą uwagę i powstała nawet ała nauka o „formie książki" i praktycznecrezultaty jej badań są urzeczywistniane w drukowanych obecnie książkach. Zrozumiano tam, że forma i treść książki stanowią harmonję, drobne uchybienie której dysonans przykry wywołuje. Potężna reakcja zapo-

czątkowana w 1890 r. przez poetę Williama Morris'a przeciwko tyranji brutalnej wydajności maszyny drukarskiej, produkującej masowo fabryczną tandetę jest tego przeświadczenia dowodem. Zwrócono się więc do wzorów wydawniczych przeszłości, które więcej inwencję indywidualną uwzględniały. Należy więc tutaj w kilku słowach zapoznać czytelników z historją drukarstwa, aby łatwiej ująć istotę nowoczesnych prądów w tej sztuce.

Pierwsze książki drukowane (ok. r. 1450) wzorowane były na gotyckich rękopisach średniowiecznych, ozdabianych rysunkami i inicjałami barwnymi. Papier robiony był z płóciennych szmat sposobem b. pierwotnym, jednak dawał on efekty estetyczne pozwalając na subtelny b. głęboki ręczny druk.

W r. 1470 Nicolas Jenson (francuz) wprowadza okrągły, używany do dziś dnia, „romański" typ czcionek. Stopniowo wprowadzane są drewniane, a następnie miedziane klisze, pojawiają się litery drukowane jedną czarną barwą. Aldus Manutius wynajduje sposób drukowania książek o jasnym kolorycie i zwięzłym piśmie i daje prototyp t. z. „wydawnictw kieszonkowych" („the pocket edition"). We Francji Claude Gazamond tworzy popularny dzisiaj typ liter zbliżonych do kaligrafji. W okresie reformacji na wyróżnienie zasługują jedynie wydawnictwa Elzewira, a w w. XVIII John Baskerville wynajduje sposób wyrabiania papieru, który oddaje subtelne kontury nowoczesnych liter. „Ojcem" artystycznego drukarstwa amerykańskiego jest Isaiah Thomas (1749—1831), jest on jednak zjawiskiem odosobnionem na tle XIX w., w którym produkcja amerykańska nabierająca szalonego rozpędu masowością swą zabijała wszelkie indywidualne próby.

Dopiero pod koniec w. XIX wspomniany wyżej poeta W. Morris wszczyna kampanję zwycięską na rzecz piękna w książce. Zakłada on „Kelmscott Press", gdzie naocznie wykazuje piękno wydając wzorowane na dawnych arcydziełach przepiękne dzieła sztuki drukarskiej. Szerzy on zainteresowanie i zrozumienie ważności praktycznej sztuki stosowanej wogóle. Idee Morrisa dzielnie wprowadził w czyn wydawca amerykański D. B. Updike, właściciel Merrymount Press w Bostonie. Umie on łączyć masową produkcję z jaknajdokładniej opracowaną stroną zewnętrzą, w jego zakładach pracują pierwsi artyści-drukarze tworzący tę tak pożądaną i dostosowaną do potrzeb codziennego użytku harmonję formy i treści. Pomnikowem dziełem drukarstwa amerykańskiego jest „Altar Book" (r. 1896) wyd. Merrymount Press. Bogato zdobiona, drukowana literami specjalnie wymyślonemi przez artystę-drukarza Bertram'a Goodhuc'a, jest ona nawskroś oryginalna i charakterystyczna, ze względu na wielką ilość egzempl. wydrukowanych, dla rozmiaru i charakteru dążność współczesnego drukarstwa ameryki. Z wydawnictw tej firmy zasługują również na wyróżnienie: „Żywot Benvenutto'a Cellini" (niezwykle umiejętne dostosowanie interpretacji treści przez formę), „Pro vita monastica" (wydrukowana w stylu średniowiecznych iluminowanych rękopisów francuskich), „Sztuka drukarstwa" (r. 1923), utwór Updike'a, w której przedstawione są główne typy sztuki drukarskiej i w. inn.

Inna znana firma Houghton Chiflin Company zawdzięcza swe powodzenie genjuszowi drukarskiemu p. Roger'a Bruce'a. Używa on wszystkich stylów drukarskich, tworzy nowe, naśladuje stare typy wydawnictw, szczególnie z XVI-go stul., oddaje subtelne kontury liter Jensona, przystosowuje stare sztychy do współczesnych wymagań. Jego „Sonety Rousarda" (1903) służyć mogą za wzór subtelności, wykwintu i dobrego smaku, cudowna jest gotycka „Pieśń o Rolandzie" iluminowana wzorami z witrażów w katedrze w Chârtres, przewspaniała jest „Geoffroy Tory" (1909) ozdobiona przeszło stu wspaniałemi ilustracjami, które wywarły duży wpływ na późniejszą sztukę rysunkową w Ameryce.

Firma „The Grolier Club of New York" wydała sześć różnych kompletów książek, z których każdy jest wykonany przez innego rysownika — artystę. Są to wspaniałe arcydzieła, niezwykłe w swej prostocie i umiarze artystycznym. Na przednie miejsce wybija się obecnie twórczość p. M. F. Cleland'a, który uważany jest jednogłośnie za koryfeusza współczesnej sztuki drukarsko-zdobniczej w Ameryce. Naśladuje on głównie typ wydawnictw z czasów odrodzenia i 18-go stulecia francuskiego, przyczem umie genjalnie łączyć estetykę książki z najnowszemi pomysłami techniki i praktyczności życiowej.

Za b. pożyteczne należy uważać wydawnictwa American Type Founders Co., które reprodukują dokładnie kopje wydawnictw artystycznych wszystkich czasów i narodów, dając w ten sposób możność porównania i sądu krytycznego dla oceny estetyki książek.

(Dokończenie na str. 30).

Kłopoty Forda ze światem żebrzącym.

Pisma amerykańskie podają ciekawe szczegóły o stosach listów otrzymywanych stale przez znanego „króla" automobilowego, Henryka Forda, od najrozmaitszych ludzi, z najrozmaitszych stron świata z prośbami o wsparcie.

Obliczono, że listów takich otrzymuje Ford dziennie półtora tysiąca, czyli 10 tysięcy na tydzień, a pół miljona na rok.

Piszący proszą przeważnie o pomoc pieniężną na najrozmaitsze cele osobiste, czyli poprostu żebrzą. Wszyscy, jak jeden mąż, powiadają przytem, że nie mieli w życiu należytej szansy i że chcą uczciwie zapracować na utrzymanie.

Okazuje się, że gdyby Ford chciał przychylnie wszystkie prośby załatwić, to musiałby rozdać rocznie na cele dobroczynne około 400 miljonów dolarów.

Listy przywozi do Forda codziennie specjalny automobil ciężarowy. Cały sztab urzędników i sekretarzy otwiera je i czyta, następnie odpowiednio rozdziela, a tylko mała garstka listów dostaje się do rąk sekretarza prywatnego Forda. Mimo to na każdy list wysyła się grzeczną odpowiedź.

* * *

Oto kilka przykładów, o co ludzie proszą Forda:

„Proszę mi pomóc, bo jestem zdolny, ale niemam pieniędzy na kształcenie się".— „Chcę jechać do Europy i kształcić się w grze na skrzypcach, lecz nie mam pieniędzy". Inny, nie mający pieniędzy, chce być lekarzem, tamten pianistą. Ten prosi o pożyczkę którą zwróci, gdy się dorobi, ów przysyła fotografję i powiada, że jest poetą, a nikt nie jest w stanie ocenić go.

Żona pewna prosi, by spłacił dług hipoteczny z jej domu, bo mąż chory; student prosi o grosz na ukończenie studjów. Pewna kobieta prosi o pożyczkę 4 dolarów, aby zapłacić dług sklepikarzowi, jakiś znów jegomość chce 3 miljony dolarów na kupno kopalni srebra.

Wdowy proszą o pomoc dla swych dzieci, dzieci zaś o pieniądze na futra dla rodziców. Kaleki chcą środków na leczenie, chłopcy mali proszą o rowery lub o radjoaparaty.

Pewna nauczycielka prosi o pożyczkę tysiąca dolarów, którą następnie miał Ford ulokować w interesie, gdy zaś ten tysiąc urośnie do stu tysięcy, to może sobie Ford odciągnąć ów „pożyczony" tysiąc z procentem, a resztę jej ma przesłać.

Umarł ojciec i zostawił rodzinę w biedzie — piszą do Forda. Oszukał adwokat wdowę — Ford ma pomóc; syn puścił się na śliskie ścieżki — Ford ma to naprawić!

Piszą doń też różne kluby i organizacje. Jedne chcą pieniędzy na budowę domów, inne proszą o pomoc przy założeniu bibljoteki.

Listy przychodzą głównie ze Stanów Zjednoczonych i Kanady, choć nie brak i listów ze wszystkich stron świata, nawet z Polski. Nasi biedacy proszą, aby im Ford przysłał kartę okrętową — a gdy przybędą do Ameryki, to chcą mu tę kartę odrobić.

Jednem słowem, cały świat uważa Forda za św. Mikołaja, który powinien ludzi obdarowywać i śpieszyć im z pomocą — bo ma pieniądze!

* * *

Ford jednak nie posyła nikomu żadnych pieniędzy, gdyż nie wierzy w leczenie nędzy za pomocą dobroczynności. Oto jego zapatrywanie:

„Dobroczynność nie jest lekarstwem na biedę i nędzę. Co się komuś da za darmo, nigdy to wiele dobrego nie zrobi. Na jakiś czas może się twa pomoc przydać drugiemu, ale gdy mu się raz pomoże, to przyjdzie poraz drugi.

„Najlepszą rzeczą dla potrzebujących pomocy jest dać im szansę, aby sobie sami mogli pomóc.

„Jeśli biedakowi wytłumaczy się, że sam może się utrzymać, to ten biedak zacznie myśleć o sobie i pracować szczerze. Dać mu szansę do pracy—jest o wiele lepszem, aniżeli pomóc mu do lenistwa.

„Dlatego — mówi dalej Ford — buduję ciągle nowe fabryki, aby dać pracę i zatrudnienie coraz to większej liczbie ludzi. Tych wszystkich pieniędzy, które mam, sam nie spotrzebuję. Wszystkie one idą w przemysł i na wypłaty dla robotników, którzy chcą i umią pracować.

„Pracowity robotnik za wynagrodzenie, otrzymane za swą pracę, może kształcić dzieci, może je posyłać do wyższych szkół, może im kupić fortepian i postarać się dla nich o dom nawet."

Tak mówi Ford, najbogatszy obecnie człowiek na świecie.

Czy ma rację? — osądźcie sami.

SOKÓŁ.

Jerzy Washington.

Jerzy Washington — twórca niepodległości Stanów Zjednoczonych urodził się 22-go lutego 1732 r. w fermie ojca swego Bridges Creek, nad rzeką Potomac, w powiecie Westmoreland, stanu Virginja. Historja jego lat młodzieńczych jest nieznana. Wykształcenie otrzymał tylko elementarne i to niebardzo kompletne; lubił bardzo matematykę, w której sam się kształcił. Mimo to jednak był to umysł niepospolity. Gdy dorósł pracował jakiś czas jako geometra, później wstąpit do armji kolonjalnej, w której jako bardzo zdolny oficer dał się poznać podczas wojny Anglji z Francją i powołany został na komendanta gwardji narodowej.

Anglja, prowadząca zaborczą i rabunkową gospodarkę dążyła do upokorzenia i zgniecenia Ameryki. To było przyczyną wybuchu powstania przeciw Anglji w roku 1775 w Bostonie, które rozszerzyło się na wszystkie 13 kolonji. Wkrótce po wybuchu powstania kongres wszechamerykański powołał Washingtona na naczelnego wodza armji powstańczej.

Washington miał wówczas lat 43 i znała go już cała Ameryka. Przed powołaniem go na wodza naczelnego, porzucił był już wojskowość; ożenił się i zamieszkał na wsi, prowadząc życie zaciszne. Polował na lisy, dozorował osobiście pracy wykonywanej na fermie przez murzynów-niewolników. Sielankę tę przerywał, aby służyć dobru publicznemu, jako sędzia pokoju oraz jako poseł na sejm stanowy. W sejmie przemawiał rzadko, ale wszystko co powiedział było rozumnie i trafnie obmyślane; byli lepsi mówcy, ale żadnego nie słuchano z większą uwagą. Popularność Washingtona rosła. Wszyscy lgnęli do tego pięknego i miłego człowieka, silnego a spokojnego, którego życie czynne a pogodne, mimo wieku dojrzałego, zachowało młodym, który z poczuciem własnej godności łączył przykładną skromność i uprzejmość wobec każdego. To też w chwili niebezpieczeństwa grożącego krajowi, uchwała kongresu mianująca go wodzem naczelnym, zapadła jednomyślnie. Przystąpił on natychmiast do zorganizowania armji powstańczej, złożonej z farmerów i robotników, która znajdowała się w stanie opłakanym.

Pierwsze lata walk były dla powstańców dość pomyślne, Washington bowiem i podwładni mu dowódcy odnieśli kilka mniejszych zwycięstw, co dodało narodowi tak wielkiej otuchy i wiary, że kongres kolonjalny na zebraniu w dniu 4-tym lipca 1776 roku uchwalił znaną Deklarację Niepodległości, który to dzień rok rocznie obchodzą amerykanie jako święto narodowe.

Sprawa amerykańska nabrała rozgłosu w Europie; do armji powstańczej zgłaszali się oficerowie francuscy i inni na ochotnika, jedni pchnięci rządzą sławy i przygód, inni z sympatji dla bojowników wolności. Do tych ostatnich należał nasz bohater narodowy Tadeusz Kościuszko. Rosły widoki na przyszłość. Narazie jednak położenie Washingtona i jego armji nie przestało być przykre z racji zależności od kongresu. Po pewnym czasie kongres jednak zwolnił go od tej zależności i nadał mu władzę dyktatorską we wszelkich sprawach wojskowych. Tymczasem Washington ściągał posiłki, skąd tylko mógł. Prócz słynnego Lafayette'a zgłosiło się także dwuch innych wybitnych ochotników: Kazimierz Pułaski, były wódz konfederatów barskich i towarzysz jego nieodstępny, rotmistrz Maciej Rogowski.

Główna armja powstańcza na północy już się nie cofała, lecz wyszła na spotkanie z wrogiem. Przodem wysłano Kościuszkę z pułkiem inżynierskim, celem zbudowania w miejscu odpowiedniem obozu warownego. Kościuszko zatrzymał się w pobliżu wioski Saratoga nad rzeką Hudson i tam urządził obóz warowny z baterjami i szańcami. Wojska angielskie zaatakowały niebawem amerykan pod Saratogą, bitwa była bardzo krwawa, jednakże anglicy zostali pobici przez powstańców.

Stany Zjednoczone przez wysłannika swego, Franklina, zawarły przymierze z Francją, która udzieliła im pomocy finansowej, tudzież wysłała swą flotę i silny korpus wojska lądowego pod wodzą admirała Rochambeau. Prócz tego w r. 1779 Hiszpanja wypowiedziała Anglji wojnę, a Holandja, Danja i Szwecja w r. 1780 zawarły przymierze neutralności skierowane przeciwko Anglji.

W roku 1787 Washington przy pomocy francuzów pokonał zupełnie wojska angielskie pod Yorktown i zmusił je do poddania się, co zakończyło długoletnią wojnę i Anglja bez zastrzeżeń uznała niepodległość Stanów Zjednoczonych.

Dnia 3-go września 1788 r. w Wersalu, pod Paryżem zawarty został pokój między Anglją a Ameryką, Francją, Hiszpanją i Holandją.

Według konstytucji, którą kongres opracował jeszcze przed zawarciem pokoju, a która weszła w życie w r. 1781 Ameryka nie była ani jednolitem państwem, ani nawet państwem związkowem tylko luźnym związkiem trzynastu państw. Dopiero w roku 1787 uzupełniono konstytucję, która obowiązuje do dziś dnia, a według której władza prawodawcza spoczywa w ręku dwuizbowego kongresu, a na czele państwa stoi prezydent, wybierany na przeciąg czterech lat.

Dnia 1-go lutego 1789 roku Washington został wybrany na pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych, który to urząd sprawował dwukrotnie, t. j. do 4-go marca 1797. Po złożeniu urzędu prezydenta, usanął się w zacisze domowe i zmarł 14 grudnia 1799 roku. Pochowany jest w Mount Vernon, gdzie wdzięczny naród amerykański zbudował mu piękne mauzoleum.

Pamięć tego wielkiego człowieka zachowują amerykanie z największą czcią, nazywając go ojcem ojczyzny.

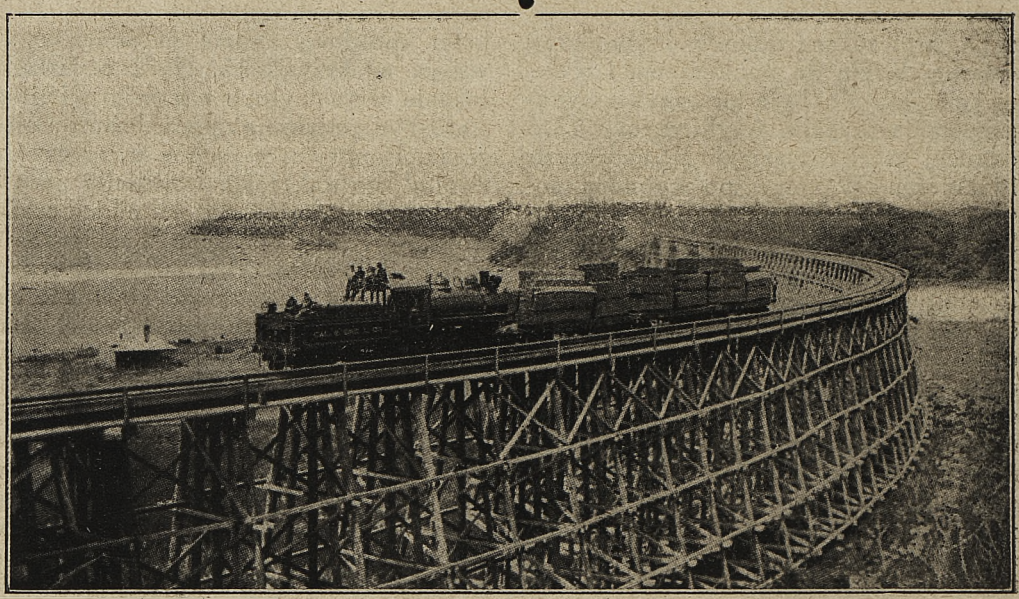

Fot. „The Timberman".

Typowa kolejka drzewna amerykańska w Stanie Oregon.

Estetyka Książki Amerykańskiej.

(Dokończenie ze str. 26)

Reasumując więc powyższe dane, bardzo niekompletne, niestety, z powodu braku miejsca — należy stwierdzić, że książka amerykańska pomimo t. z. standaryzacji przemysłu dąży do stworzenia możliwie pięknego dzieła sztuki, łączącego swe piękno z praktycznością użycia. Rzecz prosta, że jest b. wiele wydawnictw, które absolutnie nie odpowiadają żadnym estetycznym wymaganiom, ale rozbudzona opinja amerykańska krytykuje je b. surowo, tak, że absolutnie nie wytrzymują one konkurencji z istotnie pięknemi dziełami, w których natchnienie artysty i technika zecera podały sobie ramię.

Czego się wymaga od kobiety w Ameryce.

Pewien dziennik paryski wystosował do czytelniczek swoich pytanie: w którym kraju na świecie są najlepsi mężowie? Liczne odpowiedzi brzmiały prawie jednomyślnie: — w Ameryce.

Z racji tej ankiety pewna znana dziennikarka amerykańska napisała artykuł, który przytaczamy niżej w nadziei, iż zainteresuje on czytelniczki „Ameryki".

„Nic dziwnego — powiada autorka — że mężów amerykańskich uważają za najlepszych. Gdy kobieta w Europie usłyszy o wolności, jaką się cieszą kobiety w Ameryce, gdy ujrzy jak amerykanki podróżują same po Europie, a mężowie pilnują warsztatów pracy i posyłają im pieniądze, gdy zobaczy jak mąż amerykański pokornie drepce za swoją żoną i trzyma rękę w kieszeni, gotów płacić wszystkie rachunki i gdy widzi, jak kobiety amerykańskie bywają psute przez swych mężów — to nic dziwnego, że uważa męża amerykańskiego za jakiegoś księcia z bajki, o jakim marzy każda młoda dziewczyna.

I ma zupełną słuszność. Mężowie amerykańscy są najlepszymi mężami w świecie. Nigdzie mężczyzna nie jest tak hojny dla swojej żony, tak uprzejmy i pełen względów, jak w Ameryce. Stanowi on przedniejszy materjał na rynku małżeńskim i kobieta jest szczęśliwa, jeżeli go dostanie.

Ale, nie bez „ale".

Żaden inny mężczyzna w świecie nie wymaga tak wiele od swojej żony, jak mężczyzna amerykański. Prawdą jest, że daje on wiele, lecz również spodziewa się wiele. Nie zadawala się on procentem w wysokości dwu od sta, lecz uważa się za oszukanego, jeżeli małżeństwo nie przynosi mu paskarskiego zysku. Dlatego dla wielu kobiet amerykańskich małżeństwo bynajmniej nie jest różami usłane.

Mężczyzna europejski uważa, że żona jego wypełnia swój obowiązek, jeżeli urządziła dla niego wygodny dom, wydała na świat gromadkę dzieci i wychowała je przykładnie. Tylko w wyjątkowych razach wymaga od niej, aby pomagała mu w jego pracy zawodowej. Nie spodziewa się też od niej, aby starała się być interesującą, aby dodawała mu bodźca do pracy i bawiła go. Nie żąda, aby była wiecznie młoda, piękna, i ładnie ubrana.

Są inne kobiety, co umieją go zabawić. Są inne, których piękność może podziwiać. Są inne, które mogą wzbudzić w nim ambicje i z któremi przyjemnie jest mówić o planach w życiu, ale kobiety te znajdują się poza domem. I dlatego zadowolony jest ze swojej otyłej, rozlazłej i podstarzałej żony. Nie spodziewa się on nigdy, aby garnek zamienił się na wazon sewrski i aby był jednocześnie naczyniem kuchennem i ozdobą w salonie.

Lecz mężczyzna amerykański żąda wiele od swojej żony. Prowadzenie dobrze gospodarstwa i wychowanie dzieci bynajmniej nie stanowi całej jej karjery. Obowiązki te — to tylko postronne zajęcie, które ma wykonać jedną ręką i jedną połową mózgu, podczas gdy druga ręka i druga połowa mózgu zajęta jest czem innem.

Mężczyzna amerykański jest wielkim paszą, żądającym, aby kobieta go zabawiała. We wszystkich innych krajach cywilizowanych mężczyźni starają się zabawiać kobiety, lecz w Ameryce obowiązek ten spada na kobietę. — Idź, gdzie tylko chcesz, kobiety wszędzie pracują usilnie, aby podtrzymać rozmowę z mężczyznami, którzy siedzą wygodnie i słuchają monologów.

W domu dzieje się tak samo. — Żona musi być tym promykiem słońca, musi być żywą i zajmującą, aby rozerwać swego spracowanego męża. Żona musi czytać te rzeczy, które interesują męża, musi umieć rozmawiać z nim o kursie akcji i pieniędzy zagranicznych, o zapasach pięściarskich albo o piłce. Każdy mąż amerykański czułby się bardzo źle, gdyby żona nie dostarczyła mu wieczorem rozrywki równającej się średniemu wodewilowi. Zdaniem jego jest to część jej obowiązkowej pracy.

Mężczyzna amerykański liczy na swoją żonę, aby wyrobiła mu stanowisko w towarzystwie. Sam niema czasu zajmować się tem.

Mężczyzna amerykański cały ciężar wychowania rodziny składa na barki swojej żony. Jest on zanadto zajęty, aby zajmować się rozwijaniem charakteru swoich dzieci.

Uważa, że w całości wypełnił swój obowiązek, jeżeli dał na ich utrzymanie.

Dlatego sprawę karności wśród dzieci zostawia matce. Pozwala jej wybrać szkołę dla nich, pozwala im rość, jakby wcale ojca nie miały, i jeżeli wyjdą dobrze w życiu, sobie przypisuje zasługę, jeżeli źle — na żonę zwala winę.

Mężczyzna amerykański wymaga aby żona jego zachowała urodę i wdzięki. Prawdopodobnie nigdzie więcej na świecie kobiety nie zabiegają tak gorliwie o swój wygląd zewnętrzny, aby przedstawiały się powabnie dla swoich mężów, jak w Ameryce.

W Europie tylko bogate i mające dużo czasu panie zwracają uwagę na swój wygląd zewnętrzny, tylko takie trzymają się djety i uprawiają ćwiczenia, aby utrzymać zgrabne kształty i tylko takie wydają pieniądze i tracą czas na masaż twarzy, pielęgnowanie rąk itp. Przeciętna średniej klasy kobieta w innym kraju nabiera spokojnie tuszy i pozwala odciskom rość na rękach, zależnie, jak natura i okoliczności nakazują.

Lecz kobieta amerykańska wie, że gdy straci swoje wdzięki, to straci męża. Dlatego wykonuje swoją pracę domową w rękawiczkach gumowych, ażeby mieć delikatne i miłe w uścisku dłonie. — Morzy się głodem, aby być szczupłą i zapracowuje się prawie na śmierć, aby uszyć sobie suknię któraby wyglądała, jak wyszła z pod ręki najbieglejszej szwaczki. Jest to praca i zmartwienie, ale musi to uczynić, aby zachować miłość i przywiązanie swego męża.

Prawda — kończy autorka — że mąż amerykański jest klejnotem, ale tylko kobieta amerykańska wie, jak on drogo kosztuje."

* * *

Uczony Amerykański o naszej sytuacji finansowej i ekonomicznej.

Jak donosiliśmy już o tem w poprzedniem numerze „Ameryki", w Warszawie bawił przez dwa tygodnie ub. miesiąca dr. Jeremiah W. Jenks, profesor uniwersytetu w Nowym Jorku, przewodniczący Instytutu Hamilton'a, jeden z najwybitniejszych ekonomistów amerykańskich, ekspert w dziedzinie spraw międzynarodowych, a szczególnie walutowych. W ciągu ostatnich kilku lat rząd amerykański wysyłał prof. Jenks'a kilkakrotnie zagranicę w ważnych misjach. W roku ubiegłym prof. Jenks na zaproszenie rządu niemieckiego badał problem finansowy Niemiec i złożył raport w sprawie stabilizacji marki niemieckiej. Wielkie usługi w tej samej dziedzinie oddał on też rządowi Chin i Meksyku.

Rozpoczęte przez rząd polski starania, zmierzające do uzdrowienia skarbu sprowadziły prof. Jenks'a do nas, celem zapoznania się z naszymi warunkami finansowymi i ekonomicznymi.

Korzystając z uprzejmości prof. Jenks'a poprosiliśmy go o wyrażenie swej opinji o naszych zamierzeniach sanacyjnych.

Oto co nam prof. Jenks powiedział i o czem powinniśmy na każdym kroku pamiętać:

„Polska jest jednym z najbogaciej przez naturę obdarzonych krajów w Europie i należy do najzupełniej samowystarczalnych. Posiada ona nietylko wszelkie podstawowe produkty, jak: zboże, węgiel, sól, rudy, i naftę w ilości dostatecznej, aby się utrzymać bez żadnej pomocy zewnątrz, lecz posiada nadwyżkę, której eksport zagranicę wzrasta rok rocznie, czyniąc bilans handlowy polski dodatnim. Ten pozytywny bilans handlowy oraz szybka odbudowa przemysłu polskiego zrujnowanego przez wojnę jest dobrą zapowiedzią przyszłego rozwoju ekonomicznego Polski, co powinno zachęcić przemysłowców zagranicznych do wejścia w stosunki handlowe i kredytowe z przedsiębiorstwami polskiemi.

„Pomimo jednak ekonomicznego bogactwa i widocznego dobrobytu ludności, kraj wasz przechodzi jeden z najpoważniejszych kryzysów finansowych. Przyczyną obecnego trudnego położenia waszego widzę w historji Polski. Połączenie w jedną całość trzech części kraju, z których każda przez 150 lat bytowała pod innym rządem zaborczym jest rzeczą bardzo trudną, a wcielanie tego połączenia w życie przez ludzi niedoświadczonych (nie trzeba zapominać,

że Niemcy, Austrja i Rosja nie dopuszczały przecie polaków do ważniejszych stanowisk) musiało spowodować pewne pomyłki. Ten brak doświadczenia w sprawach administracji państwowej spowodował poważną zwłokę we wprowadzeniu zdrowego systemu finansowego. Polsce brakuje dostatecznej liczby wyszkolonych urzędników do ściągania należnych od społeczeństwa podatków we właściwy sposób. Główną przyczyną obecnego kryzysu był brak równowagi między wydatkami i dochodami państwa, spowodowany przez złą administrację. Rząd polski musi nietylko zapobiec brakowi wyszkolonych urzędników, lecz również musi się podjąć, że tak powiem, przeszkolenia całej ludności kraju, która przez 150 lat była systematycznie demoralizowana przez rządy zaborcze, i nie rozumie własnych korzyści w płaceniu podatków. Rząd— powiada dalej prof. Jenks — powinien nauczyć społeczeństwo rozumieć, że podatki przez nie płacone stanowią kapitał będący własnością całego narodu, z którego też cały naród czerpać będzie zyski i procenty w najrozmaitszych postaciach.

„Drugą, bardzo poważną bolączką Polski, wypływającą z tego samego braku doświadczenia jest częste zmienianie się gabinetów, co jest szczególnie niebezpieczne w okresie organizowania i konsolidowania się Polski, jako państwa. Widzę jednakie znaczne polepszenie w tym kierunku w fakcie zrzeczenia się przez sejm na okres sześciu miesięcy władzy prowadawczej w dziedzinie finansów i przelaniu tej władzy w całości na gabinet. Uważam, że plan ten należałoby przeciągnąć nawet nieco dłużej, o ile do 1-go lipca sytuacja nie będzie należycie uregulowana. Jak widać, tych kilka tygodni zaaplikowania tego systemu dało już poważne rezultaty. Następnie premjer i minister skarbu Grabski okazuje się jest człowiekiem zdolnym, do którego cały naród ma wielkie zaufanie. Uważam jego plan przeprowadzenia sanacji skarbu za zupełnie dobry, tembardziej z tej przyczyny, że opiera się on na niezawodnym przekonaniu, że Polska winna przedewszystkiem liczyć na samą siebie. Jednakże Polska nie powinna odrzucać pomocy obcej. Pewna ilość kapitałów zagranicznych pomoże Polsce w uzdrowieniu finansów i ustaleniu zdrowych stosunków ekonomicznych.

„To też uważam, że wskazane byłoby sprzedanie przez rząd cząstki majątku państwowego, np. lasów, i uzyskanie tą drogą pożyczki zagranicznej. Jeżeli obecna polityka polepszenia stosunków w kraju przez prowadzenie przedsiębiorstw państwowych na zasadach czysto handlowych—co zdaje się mieć wszelkie szanse powodzenia—będzie prowadzona nadal, to Polska będzie miała zupełnie dobre widoki na uzyskanie bez trudności pożyczki zagranicznej".

S. M. T.

„Skandal" naftowy w Ameryce.

(Słyszymy, że dzwonią..—Skandal w „Imbryku" —Kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada. — Anonimowy rząd Stanów Zjednoczonych.— E. Doheny, trzeci najbogatszy człowiek w Ameryce.—Pobożne życzenie).

Od pewnego czasu zjawiają się w naszej prasie codziennej krótkie notatki, przeważnie w formie depesz z Ameryki, o wielkim „skandalu" w tamtejszym świecie politycznym.

Dowiedzieliśmy się więc, że pewne wybitne osobistości zostały skompromitowane, że niektórzy członkowie rządu zmuszeni byli podać się do dymisji i że paru wybitnych kandydatów na stanowisko prezydenta musiało wycofać się z szeregów ludzi ubiegających się o ten najwyższy zaszczyt.

Obijały się nam o uszy nazwiska McAdoo, Fall, Walsh, Doheny, Denby, ale właściwie mało kto zdawał sobie dokładnie sprawę z tego, o co w tem wszystkiem chodziło. Słyszeliśmy, że dzwonią, ale nie wiedzieliśmy, w którym kościele.

Cała ta sprawa przedstawia się w następujący sposób. W stanie Wyoming, w miejscowości zwanej Teapot (co po polsku znaczy „imbryk") posiada rząd amerykański bogate tereny naftowe. Inne dwa tereny znajdują się w stanie Californja. Tereny te zostały przeznaczone jako re-

zerwa na potrzeby marynarki amerykańskiej, która coraz szerzej stosuje opalanie swych okrętów ropą. Ponieważ jednak te tereny są otoczone innemi terenami należącemi do przedsiębiorstw prywatnych, które starają się umyślnie budować szyby jaknajbliżej terenów rządowych, więc zapasy ropy rządowej odciągane przez towarzystwa prywatne stopniowo zmniejszały się. Strata z tego tytułu wynosiła podług określeń ekspertów 11 miljonów beczek, a podług innych dochodziła nawet do 100 miljonów. Wobec tego rząd amerykański postanowił wydzierżawić tereny te przedsiębiorstwom prywatnym, które zobowiązały się je eksploatować i jednocześnie stale utrzymywać w miejscach przez rząd wskazanych zapasy ropy na potrzeby marynarki. Rząd amerykański miał absolutne prawo to uczynić i minister spraw wewnętrznych, Fall, za czasów gabinetu Hardinga został przez gabinet upoważniony do przeprowadzenia tej tranzakcji. Odpowiednie kontrakty zostały zawarte z Sinclairem na tereny w Wyoming i z Dohenym na tereny w Kalifornji w 1921 i 1922 roku. Zdawało się, że wszystko było w porządku. Dzierżawcy natychmiast zabrali się do pracy, przystąpili do inwestycji i do sprawy tej nikt się nie mieszał.

Jednak przed paroma tygodniami rozpoczęto w Ameryce nader ożywioną kampanję przeciw ludziom, którzy w tych tranzakcjach brali udział, ponieważ znaleźli się tacy, którzy twierdzili, że niektórzy członkowie ówczesnego rządu byli osobiście zainteresowani w tej sprawie i osiągnęli z tego tytułu pewne materjalne korzyści.

Całą awanturę wywołali demokraci, którzy w ten sposób chcieli skompromitować rząd republikański i zamknąć drogę ich przedstawicielowi do Białego Domu.

Debaty i śledztwa, jakie odbywały się w tej sprawie w Senacie i w specjalnej komisji senackiej wykazały jednak, że nietylko republikanie byli w tej sprawie zamieszani. Prawda, ówczesny minister Fall (republikanin) naraził się na bardzo poważne zarzuty, tak samo i Denby, do ostatniej chwili minister marynarki, podał się do dymisji, nie chcąc, aby skierowane przeciw niemu zarzuty mogły obciążać cały rząd. Ale i demokraci nie wyszli z tego cało: nafta i ich obryzgała. I dlatego też najważniejszy ich kandydat na prezydenta, były minister skarbu, McAdoo, musiał zrezygnować z ubiegania się o to stanowisko, ponieważ zarzucano mu, że jako radca prawny E. Doheny, jednego z kontrahentów,. działał na szkodę Stanów Zjednoczonych.

Właściwie mówiąc, cała ta sprawa została wywołana jedynie walką polityczną pomiędzy dwoma partjami. Sama tranzakcja nie była zła dla rządu amerykańskiego. Orzekli to wyraźnie eksperci. Skoro sam rząd nie eksploatował tych terenów, które ukrycie eksploatowali sąsiedzi, to mogło z czasem dojść do tego, że owe rezerwy znikłyby zupełnie. Ale w walkach politycznych w Ameryce tak samo, jak i u nas nie chodzi o prawdę i niezawsze o prawdziwe interesy państwa.

Walka ta, chociaż odbywa się na terenie przedwyborczym i nibyto ma na celu dobro kraju, jest jednak walką pomiędzy dwoma potężnemi grupami naftowemi: Rockefeller contra Doheny. Jest to walka innych rządów, jakie panują na całym świecie, a które w Ameryce mają swych najpoważniejszych przedstawicieli. W swoim czasie prez. Roosevelt określił to słowem „anonimowy rząd", a prez. Wilson również często wspominał o „niewidocznem mocarstwie", z którem prawdziwy rząd musiał często staczać walki. Składa się on z ludzi, którzy posiadają takie olbrzymie środki materjalne, że pozwalają im one na dyktowanie nowych praw, na kupowanie sobie najwyższych urzędników państwowych, na decydowanie w sprawach pokoju i wojny.

Kim jest Rockefeller wiemy wszyscy. Ale kim jest Doheny? Nazwisko jego było dotąd w Polsce nieznane. A jednak jest to po Fordzie i Rockefellerze najbogatszy człowiek w Ameryce. Dwadzieścia parę lat temu nie miał ani grosza. Przyjechał do Kalifornji ze swym przyjacielem, mając na dwuch akurat 10 centów. Przypadkiem zainteresował się naftą, którą naówczas mało się zajmowano i odtąd fortuna sprzyjała mu niezawodnie. Zaczął w Kalifornji, potem udał się do Meksyku, gdzie w tej chwili należy do niego 1.400.000 akrów terenów naftowych, a potem roszerzył swe panowanie na cały świat. W samym Meksyku wydał na roboty ziemne, mające na celu podniesienie kultury miejscowości, gdzie znajdowały się jego tereny, przeszło trzysta miljonów, nie tysięcy, ale miljonów dolarów. Tampico zajmuje dziś w Ameryce drugie miejsce pod względem wywozu nafty. I wszystko zrobił ten człowiek, którego majątek jeszcze niedawno, bo

za pamięci obecnego pokolenia, wynosił 10 centów.

Ale majątek jego to nie wszystko. Gromadzenie tych wielkich funduszów nie jest ostatecznym celem tego człowieka. Co więc pcha go do tego?

Jak twierdzą ludzie, którzy go dobrze znają, człowiek ten ma niepohamowane pragnienie władzy. I dlatego angażuje na swe usługi byłych ministrów, dlatego pożycza pieniądze państwom zagranicznym, jak jakiś feudalny książe, dlatego kieruje polityką swego kraju a nawet i innych, gdzie tylko może sięgnąć władza jego pieniędzy, dlatego popiera Irlandję przeciw Anglji. Doheny jest katolikiem, a Rockefeller protestantem i wielkim wrogiem katolicyzmu. Tu nietylko konkurencja ekonomiczna wchodzi w grę, ale i walka przekonań religijnych. Doheny sam rzadko chodzi do kościoła, ale teraz buduje wielką świątynię katolicką w Los Angelos, kosztem półtora miljona dolarów.

I pomimo, że przeciwko niemu, a raczej przeciw jego najważniejszym wspólnikom wytoczona jest obecnie cała baterja komisji śledczej wyznaczonej przez prez. Coolidge'a, nic mu się nie stanie. Część opinji publicznej zwróci się ku niemu, co jest tem łatwiejsze do osiągnięcia, że jest prawie miljarderem. Drobniejsi ludzie stracą nieraz w oczach własnej partji, ale Doheny wyjdzie z całej awantury zwycięzko. Jest on zbyt mądry, aby mógł dać się wplątać w aferę, która z punktu prawnego nie jest w porządku. Zresztą dla bezstronnych świadków jest rzeczą jasną, że nie można ludzi, których obecnie oskarżają, uważać za działających dobrowolnie na szkodę państwa. I chociaż znajdą się ludzie, którzy Doheny'ego potępią, to jednak więcej będzie takich, którzy powiedzą, że działalność jego przynosi krajowi i państwu olbrzymie korzyści.

Szkoda, że jest on irlandzkiego pochodzenia, a nie polskiego, może byłoby nam łatwiej „wyprostować krzyż", gdyby taki Doheny zechciał się nami zająć, tembardziej, że jest on prawie właścicielem, a przynajmniej posiada decydujący głos w domu hankierskim Blair & Co., którego specjalnością jest udzielanie kredytów zagranicznym państwom.

Widok dolnej części Nowego Jorku (Down-Town) zdjęty z lotu ptaka. Na pierwszym planie widać doki i „drapacze chmur".

ST. CENTK.

ZA ATLANTYKIEM.*)

„Dla stosunków polsko-amerykańskich jest rzeczą znamienną, że Polska, posiadając za oceanem od lat kilkudziesięciu silne liczebnie wychodźtwo... właściwie Ameryki nie zna" — od tych słów rozpoczyna Z. Dębicki cykl swych wrażeń z podróży po St. Zjedn. Am. Półn. Istotnie, należy stwierdzić, że znajomość życia i stosunków amerykańskich jest u nas b. słaba, a w szczęśliwszych wypadkach niezwykle powierzchowna. Kilka wydanych po wojnie szkiców i wrażeń z pobytu w Ameryce zapoznaje nas jedynie z powierzchownymi, wpadającymi na pierwszy rzut oka cudzoziemca szczegółami, nie siląc się najczęściej na syntezę swych wrażeń. Książka Z. Dębickiego jest u nas pierwszą, która daje nie malownicze opisy „drapaczów nieba" i „piekła ulicznego" New-Yorku, ale głęboko przemyślaną syntezę życia amerykańskiego, pełną przedziwnej jasności i wnikliwości. Niema w niej zamilczeń i fałszywej ckliwości pseudo-patrjotycznej, tak np. Dębicki jasno sobie sprawę zdaje z roli wychodźtwa polskiego i pisze: „Mimo jednak tego, co się u nas zwykło mówić o zamożności i bogactwie wychodźtwa polskiego w Stanach Zjednoczonych, nie można i nie należy taić, że Polacy zajmują tam jedno z pośledniejszych miejsc właśnie pod względem zamożności i bogactwa, że na ogół stoją kulturalnie niżej od przedstawicieli innych narodów europejskich i że dopiero w ostatnich latach to ich upośledzenie zaczyna zmieniać się na lepsze."

Rozumie on doskonale społeczną i narodową potrzebę poznania i zrozumienia tego wychodźtwa — „Za oceanem wytworzył się nowy, odmienny od rodzimego, typ Polaka, typ, który my sami ochrzciliśmy mianem „Polaka amerykańskiego". — Na tle ogólnych stosunków: „Jest ogromne i potężne państwo nowoczesne, o bardzo charakterystycznej i ciekawej strukturze społecznej i gospodarczej, jest kraj wielkiego przemysłu i wielkiego handlu, wielkich interesów i zawrotnie śmiałych przedsięwzięć, jest społeczeństwo złożone z różnych pierwiastków etnicznych, a stające się zwolna jednolitym narodem, bo scementowane jedną panującą kulturą anglosaską, jest zaś nadewszystko labolatorjum nowego życia, które ma swój własny, niezależny od Europy rozpęd. Temu życiu trzeba się przyjrzeć".

W szeregu oddzielnych artykułów więc daje Dębicki zwartą syntezę swych poglądów na najważniejsze kwestje amerykańskie. Najpierw analizuje on pojęcie „narodu" amerykańskiego. „W tym wielkim tyglu, jakim są dzisiaj Stany Zjednoczone, dorównywujące obszarem swoim całemu niemal lądowi Europy, spotkały się z sobą narody Zachodu i Wschodu europejskiego... Każdy z tych narodów przynosił z sobą coś z własnego swojego zwyczaju i obyczaju, przynosił zaś przedewszystkiem to, co jest najtrwalsze, co utrzymuje się najdłużej, jako rys fizjognomji narodowej, co często nawet pod pokostem zupełnego zamerykanizowania daje się odszukać i dostrzec, jako cecha niezniszczalna, świadcząca o pochodzeniu, o tej dalekiej, własnej ojczyźnie, o której niejeden przestał już wiedzieć, do której wielu przestało tęsknić, a która przecież jeszcze świadczy o swojem istnieniu choćby w postaci „potrawy narodowej", zjawiającej się na stole w imię tradycji w dzień święta rodzinnego." Ludzi tych przerobiła silna kultura anglo-saska, przerobił wspólny ubiór, klimat, instytucje społeczne i polityczne, nawet wojna europejska poważniej wstrząsnąć posadami ich pojęć nie zdołała i dzisiaj stwierdzić można, że „Amerykanie kochają Amerykę. Miłość ojczyzny kształtuje się jednak u nich na zupełnie odmiennych podstawach, niż w Europie. W Europie zaczyna się ona u każdego od jego „gniazda rodzinnego", od wioski czy miasta i stopniowo dopiero od tej „cząstki ojczyzny" przechodzi do ogarnięcia jej całości. W Ameryce przeciwnie. Przywiązanie do „kąta rodzinnego" jest mniejsze, ale już każde dziecko w szkole elementarnej ma pojęcie o państwie amerykańskiem, o Stanach Zjednoczonych, jako o swojej ojczyźnie. Do pojęcia ojczyzny dochodzi przeto Amerykanin nie przez pojęcie *ojcowizny*, ale przez pojęcie *państwa* i dlatego miłość *ziemi* zastępuje tam miłość *wolności*, a wy-

*) *Zdzisław Dębicki* — Za Atlantykiem. Wrażenia z pobytu w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Warszawa, Nakład Gebethnera i Wolffa. Str. 244.

obrazicielka tej wolności, flaga gwiaździsta, jest ową *res sanctissima*, przed którą każdy z szacunkiem głowę pochyli.

Dalej rozważa Dębicki sprawę „kolorowych mniejszości" ameryk. indjan, na wymarciu już pozostających, czarnych, których silniejsza konstrukcja fizyczna i większa zdolność rozrodcza stwarza dla każdego białego Amerykanina „rywala, tem niebezpieczniejszego, że odmówić mu niepodobna prawa do brania udziału w życiu.

Urodzony w Ameryce, uważający język angielski za swój ojczysty, wychowany w atmosferze i w tradycjach politycznych Stanów, wrośnięty on jest istotą swoją znacznie głębiej w grunt amerykański, niż panoszący się nad nim Irish (Irlandczyk)-*policeman*, który stanowisko swoje zawdzięcza dwom tylko względom—raz, że należy do rasy białej, po wtóre, że waży przepisaną ilość funtów, bo według praw amerykańskich policjant powinien ważyć co najmniej 200 funtów, aby mógł mieć powagę, odpowiednią do swego stanowiska. Dla Negra tymczasem, choćby ważył 300 funtów, godność policjanta jest nie do osiągnięcia."

Problemat t. z. „amerykanizacji" rozwiązuje Dębicki ukazując jej istotę, która „polega nie na wynikach zewnętrznych, ale na *typie ludzkim*, który te wyniki osiąga. Życie amerykańskie zbudował *Amerykanin*, człowiek tęgi, zdolny do wysiłku, przedsiębiorczy, śmiały, wytrwale zdążający do celu. Dalej, człowiek, wychowany w wielkiem poczuciu prawa i wielkiem poczuciu obowiązku." Takim ludziom „zawdzięcza Ameryka swój niebywały rozwój, zwłaszcza swoje triumfy w dziedzinie techniki, swój tunel pod Hudsonem z Nowego Jorku do New-Jersey, swoje *Sub-Ways* (koleje podziemne), swoje „drapacze nieba", sięgające już dzisiaj 54 pięter! (*Woolworth Building* w Nowym Jorku), swoje mosty, koleje, fabryki, zatrudniające po 30.000 robotników (Ford w Detroit, w st. Michigan) i inne „cuda", które w istocie nie są cudami, tylko wynikiem szczęśliwego połączenia energji myśli ludzkiej z energją czynu ludzkiego. Wszystko to stworzyła *wola ludzka*, nie cofająca się przed żadną przeszkodą, uważająca, że wszystko jest do osiągnięcia."

Wbrew ogólnym pojęciom o materjaliźmie ameryk. Dębicki stwierdza „że w tem „zmaterjalizowanem" w oczach Europy społeczeństwie jest dużo młodzieńczego idealizmu, z jakiego stara Europa dawno już wyrosła" i daje przykłady działalności: „Red Cross", „Y. M. C. A", Hoover'a i wielu, wielu innych, którzy „także *uczą* Europę zorganizowanej pracy na rzecz bliźniego, pracy, która, przy ogromnym wysiłku nie żąda dla siebie żadnej nagrody, żadnej reklamy, która poprzestaje na świadomości „spełnionego obowiązku".

Z bezpośredniej obserwacji życia wynikają uwagi o „pomocy wzajemnej", o „życzliwości", którą się odznaczają stosunki amerykańskie. „Amerykanie nie są względem siebie podejrzliwi. Zgóry nie posądzają nikogo o złą wolę. Wejdą w stosunki z każdym. Z każdym zrobią interes. Ale jeżeli się raz na kimś zawiodą, nie powtórzą już po raz drugi doświadczenia. Zarobek, nawet wysoki, uważają za rzecz słuszną, wymagają jednak bezwzględnej uczciwości i punktualności w dotrzymywaniu zobowiązań. Wierząc, chcą również aby im wierzono. I można być pewnym, że jeżeli amerykanin poda rękę lub uderzy kontrahenta po ramieniu, to w tym uścisku i w tem uderzeniu jest więcej, niż w akcie, spisanym u rejenta — jest bezwzględna rękojmia, ta sama dla zwykłej obietnicy towarzyskiej, co i dla wielkiego *business'u*, w który zaangażowane zostały miljony."

Ciekawe są uwagi o typie spekulacji amerykańskiej: „Tak zwany „wolny pieniądz", pozostający w kieszeni po zaspokojeniu potrzeb, zostaje natychmiast zużyty na kupno akcji tego lub owego przedsiębiorstwa. I to jednak nie jest lokata w znaczeniu europejskiem, ale raczej gra na loterji, *fair play*... O takiem zaleganiu wielkich kapitałów w bankach, jakie zdarza się w Europie, w Ameryce niema mowy. Niskim procentem angielskim albo francuskim niktby się tam nie zadowolił. Każdy woli zaryzykować, woli „postawić na kartę", w świadomości, że jeśli przegra, to nigdy nie przegra wszystkiego, bo nigdy nie zaangażuje się całym swoim kapitałem w jedno przedsiębiorstwo, ale rozdzieli go pomiędzy szereg przedsiębiorstw, z których jedno przynajmniej zawsze się powiedzie. Ryzyko jest tu konieczne. Zdecydowany gest nieodzowny. Pomysłowość niezbędna, Dowcip często bardzo pomocny."

(d. c. n.)

KRONIKA.

KONKURS

Na Nową Nazwę dla „AMERYKI".

W przyszłym numerze ogłosimy warunki konkursu na nową nazwę dla naszego miesięcznika.

Przyznane będą cztery nagrody w ogólnej sumie

5.000.000.000 mk.

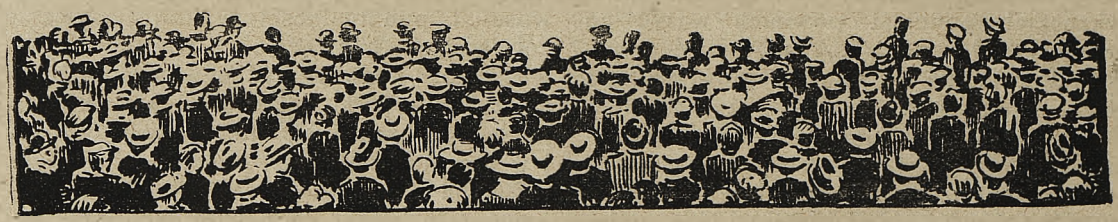

Dokończenie pracy D-ra Żurawskiego „Instytucje Polityczne w Stanach Zjednoczonych z powodu nawału materjału umieścimy w następnym numerze „Ameryki".

* * *

Konsulat amerykański (Jasna 11) podaje do wiadomości, że otrzymał ze Stanów Zjednoczonych egz. „Chemical Engineering Catalog" za rok 1923, wydanie 8-e, który znajduje się do użytku osób zainteresowanych w wydziale handlowym konsulatu.

* * *

Prezes Am. Polskiej Izby Handlowej, p. L. Kotnowski oraz wiceprezes Tow. Polsko-Amerykasskiego, p. St. Arct w odpowiedzi na wysłany przez nich telegram kondolencyjny z powodu śmierci prezyd. Wilsona otrzymali od pani Wilson pismo specjalne z podziękowaniem za gorące słowa współczucia.

* * *

Wypuszczona przez rząd nasz 6 proc. premjowa pożyczka dolarowa zdobyła sobie odrazu wielką popularność. W ciągu pierwszych 6-u dni sama centrala P. K. K. P. sprzedała 35,000 sztuk obligacji 5-dolarowych. Pożyczka dolarowa daje możność wygrania co kwartał wysokich premji, wypłacanych podobnie jak i spłata samej pożyczki — w dolarach.

* * *

Korespondent nasz donosi z Waszyngtonu, że Komisja Emigracyjna przedłożyła Kongresowi projekt nowej ustawy imigracyjnej. Według tego projektu kontyngenty dopuszczone do imigracji mają opierać się na spisie ludności z r. 1890, a procent ma być obniżony z 3 na 2. Wychodźcy posiadający krewnych w Ameryce będą mieli pierwszeństwo.

* * *

Do Amerykańsko-Polskiej Izby Hadlowej przyjęci zostali następujący nowi członkowie: Rzeczywiści: 1) Bank Śląski, ul.

3 Maja, Katowice; 2) B. Kasprowicz, Fabryka wódek i likierów, ul. Chrobrego 3, Gniezno; 3) Firma Georg Schmidt Wwe, Sandgrube 27, Gdańsk. Zwyczajni: 1) L. Bobiński, dyrektor Banku Kredytowego, Mazowiecka 9; 2) Michał Kwapiszewski, naczelnik Wydziału Amerykańskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Hotel Europejski; 3) Cezary Łoziński, Polna 72, m. 12; 4) Jan Raue, dyrektor Polsko-Bałtyckiego Tow. Handlowo-Transportowego, Bednar-2—4; 5) Witold Prądzyński, dyrektor Tow. Akc. C. Hartwig, Miodowa 18; 6) Kazimierz Wejchert, dyrektor Firmy „Elibor" Sp. Akc., Chłodna 34, m. 11; 7) Dezydery Sączewski, Nowogrodzka 18a.

* * *

Do Towarzystwa Polsko-Amerykańskiego przyjęci zostali następujący nowi członkowie: 1) Firma Georg Schmidt Wwe., Sandgrube 27, Gdańsk; 2) Kazimierz Wejchert, dyr. Firmy „Elibor", Chłodna 34, m. 11; 3) L. Bobiński, dyrektor Banku Kredytowego, Mazowiecka 9.

* * *

Amerykańsko-Polska Izba Handlowa w Nowym Jorku zawiadamia nas, że trzech profesorów kolegjum w Darmouth, pp. Allan Robinson, William Stuart Messer, oraz William Kilbourne Stewart, ma zamiar odwiedzić wkrótce Polskę. Profesorowie ci pragną zaznajomić się z metodami wychowawczemi stosowanemi w zakładach naukowych w Polsce, i spodziewają się, że wybitni wychowawcy polscy udzielą im wszelkich interesujących ich wyjaśnień. Zaznaczyć trzeba, że wyżej wzmiankowani profosorowie są zupełnie dobrze obznajmieni z literaturą oraz prądami pedagogicznymi Europy, a ich chęć poświęcenia czasu na studjowanie takowych w Polsce chlubnie świadczy o zagranicznej opinji o nas.

* * *

Na zaproszenie Rady Polskiego Komitetu do Zwalczania Raka do wysłania delegata na Posiedzenia Komitetu w celu utworzenia „Polskiego Daru Narodowego dla Marji Skłodowskiej-Curie" w postaci Instytutu Radowego imienia wielkiej uczonej, Towarzystwo Polsko-Amerykańskie wyznaczyło jako swą przedstawicielkę panią Helenę Bispingową.

* * *

Poseł Stanów Zjednoczonych p. Hugh Gibson z małżonką w drodze powrotnej z Ameryki do Europy.

Poseł Stanów Zjed. w Warszawie, p. Gibson, opuści w połowie maja Polskę, gdyż mianowany jest do Szwajcarji na miejsce p. J. Grew, powołanego na stanowisko podsekretarza Stanu w Waszyngtonie na miejsce p. Philips'a. Ten z kolei mianowany jest posłem amerykańskim do Belgji.

Kierownictwo poselstwa amerykańsaiego w Polsce objejmie chwilowo *chargé d'affaires*, p. de Boal.

Myśli amerykańskie.

Bezcenność pomysłu nie leży w samym pomyśle, lecz jego wykonaniu: same pomysły, choćby najgenjalniejsze a niewykonalne są jednak bezwartościowe zazwyczaj dla ludzkości i dla ich twórców.

* * *

Organizacja to ludzie przedewszystkiem, a nie maszyny i budynki.

John Rockefeller.

Przedsiębiorstwo wówczas dopiero pracuje wydajnie, gdy każdy pracownik pilnuje swej roboty i jest za nią odpowiedzialny, a ogół wie o tem. *John Willys.*

Troska o jutro, to przeszkoda w pracy dzisiejszego dnia. *Henry Ford.*

Wiadomości Różne.

Wybryki niemieckiego dyplomaty. 5-ty lutego wyznaczony był jako oficjalny dzień żałoby z powodu śmierci b. prezydenta Wilsona. Wszystkie poselstwa i legacje państw obcych w Waszyngtonie na znak żałoby opuściły flagi do połowy masztu. Nie uczyniło tego jedynie poselstwo niemieckie, czem wywołało burzę protestu w prasie amerykańskiej. Ambasador niemiecki, Otto Weidenfeld, dla wytłómaczenia swego niedyplomatycznego postąpienia oświadczył, że „rząd niemiecki uważa ś. p. Woodrow Wilsona za prywatnego obywatela, wobec czego polecił ambasadzie swej w Waszyngtonie powstrzymać się od oficjalnego brania udziału w żałobie". Następnego jednak dnia p. Weidenfeld zaprzeczył temu oświadczeniu i otrzymał polecenie od swego rządu opuszczenia flagi do połowy masztu. Cały ten incydent wywołał pogłoski o zmianie posła niemieckiego w Waszyngtonie.

Postępy amerykanizacji. W ciągu roku ubiegłego 145,084 obcokrajowców uzyskało poddaństwo amerykańskie. W liczbie tej było: 24,875 obywateli włoskich, *22,621 polskich*, 17,190 rosyjskich, 16,953 angielskich i 12,064 niemieckich.

Świat na opak. Jedno z pism amerykańskich ogłosiło, że bokser w Ameryce może zarobić rocznie około miljona dolarów, mały chłopak, jako gwiazda filmowa 800,000 dol., gracz w tenisa lub bilard 150,000 dol., a wreszcie profesor uniwersytetu około 5,000 dol. Zestawienie to chyba nie wymaga komentarzy.

Ilu ludzi zatrudnia Ford. Biuro prasowe znanego fabrykanta automobilów Henryka Forda komunikuje, że zatrudnia on w swych wielkich fabrykach w Detroit i na całym świecie 162,792 ludzi. Z liczby tej 121,214 ludzi pracuje w Stanach Zjednoczonych, a 24,323 osoby w innych przedsiębiorstwach przemysłowych, należących do Forda. W rozmaitych krajach zagranicą pracuje dlań 11,026 osób. Największa fabryka znajduje się Highland Park, Detroit, zatrudniająca ogółem 68,285 ludzi.

Polski stan posiadania w Ameryce. Otrzymaliśmy z Ameryki niezmiernie ciekawe dane dotyczące stanu posiadania i wartości nieruchomości należących do polaków w Stanach Zjednoczonych.

W pierwszej kolumnie poniższej tabeli podana jest ilość domów należących do polaków w każdym z poszczególnych stanów, w drugiej zaś wartość rynkowa domów tych w dolarach:

W Stanie:	Domów polskich	Wartość w dolarach
Arizona	7	11,000
California	302	695,000
Colorado	757	955,000
Connecticut	2,208	12,097,000
Delaware	515	1,599,000
Dystrykt Columbia	20	350,000
Florida		90,000
Illinois	34,172	94,310,000
Indiana	4,251	14,090,000
Iowa	84	712,000
Kansas	387	1,900,000
Maryland	2,055	5,300,000
Massachusetts	20,442	16,829,000
Michigan	20,013	67,829,000
Minnesota	3,710	22,481,000
Missouri	2,589	6,523,000
Montana		400,000
New Hampshire	71	374,000
Nebraska	750	9,400,000
New Jersey	2,343	12,540,000
New York	31,126	61,406,000
North Dakota		2,300,000
Ohio	9,584	26,115,000
Oklahoma	10	35,000
Oregon	75	250,000
Pennsylvania	25,971	62,519,000
Rhode Island	253	855,000
South Dakota	25	1,300,000
Texas	626	10,700,000
Vermont	60	295,000
Vashington	186	625,000
West Virginia	245	592,000
Wisconsin	12,796	39,216,000
Wszystkich domów polskich	160,583	
Wartość polskich nieruchomości w Ameryce		$474,448,000

Suma ta przy obecnym kursie mk. 9,350,000 za dolara stanowi cyfrę marek pol. *tylko* 4,408,038,800,000,000.

Ameryka pożycza pieniądze. Pożyczka japońska na ogólną sumę $150,000,000 przeprowadzona została z niesłychanem powodze-

niem. Już w kilka godzin po otwarciu zapisów subskrybowano przeszło $250,000,000.

W Nowym Jorku prasa przygotowuje banki i społeczeństwo do nowej pożyczki w sumie $20,000,000, którą zamierza zaciągnąć rząd szwedzki dla ustabilizowania kursu korony. Zapisy na pożyczkę tę rozpoczną się w maju lub czerwcu r. b.

Również rząd węgierski pragnie w Ameryce zaciągnąć pożyczkę w sumie $15,000,000. Dowiadujemy się z pewnego źródła, że sfery bankowe amerykańskie przyrzekły już poprzeć te zamiary Węgier.

Węgiel i nafta. W roku 1923 wydobyto w Stanach Zjednoczonych 545,300,000 tonn węgla kamiennego (w r. 1922 422,268,000 ton), antracytu zaś 95,197,000 ton (w r. 1922 54,683,000 ton). Produkcja koksu w r. 1913 wynosiła 17,919,000 ton, t. j. dwa razy więcej aniżeli w r. 1922. Ceny węgla kamiennego i koksu znacznie spadły w porównaniu z rokiem 1922. Natomiast cena antracytu znacznie się podniosła.

Produkcja ropy w roku 1923 pobiła wszystkie poprzednie rekordy. Wydobyto 753,000,000 baryłek, to jest o 30% więcej niż w r. 1922.

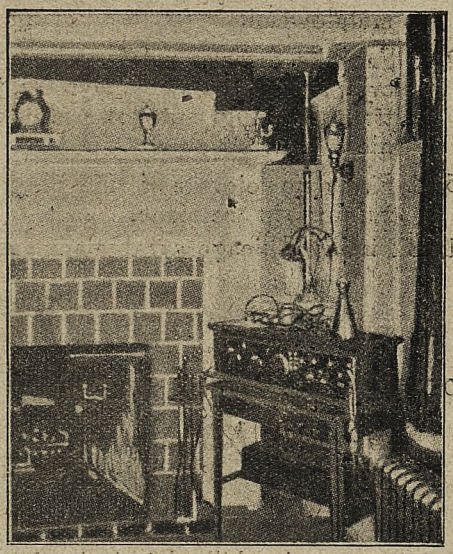

Domowy aparat radjotelefoniczny do rozmów i słuchania koncertów. Setki tysięcy takich aparatów jest dzisiaj w użyciu w Ameryce.

600/24 Firma nowojorska oferuje kasetki oszczędnościowe, żelazne, typu wypożyczanego przez Kasy Oszczędności i banki.

433/24 Firma w Chicago pragnie nawiązać stosunki z firmami polskiemi, handlującemi kanarkami, klatkami i karmą dla ptaków.

71/24 Amerykański dom handlowo-importowy nawiąże stosunki z przemysłowcami polskimi, pragnącymi eksportować swoje wyroby. Towar kupują na rachunek własny lub przyjmą przedstawicielstwo.

357/24 Poważna firma amerykańska pragnie importować z Polski przybory piśmienne etc., np.: artykuły z ebonitu, małe przybory szklane i metalowe, wyroby skórzane, kałamarze, obsadki, ołówki, małe zabawki automatyczne, scyzoryki, nożyczki oraz rozmaite nowości w podobnych dziedzinach.

3982/23 Firma w St. Louis pragnie nawiązać stosunki z firmami eksportującemi kawior w puszkach.

34/24 Firma nowojorska oferuje większe ilości koszulek spodnich, typu używanego przez armję amerykańską. Próbki koszulek obejrzeć można w biurze Izby.

306/24 Firma nowojorska nawiąże stosunki z polskimi fabrykantami lub eksporterami ręcznych i ustnych harmonji, zegarków, maszynek do strzyżenia włosów i brzytew.

171/24 Fabryka w Chicago produkująca maszyny do wyrobu puszek blaszanych i automatycznego pakowania konserw odda przedstawicielstwo na Polskę.

352/24 Firma w Brooklinie, handlująca używanemi maszynami do pisania nawiąże stosunki z takimiż firmami polskiemi.

4228/23 Firma nowojorska reflektuje na kupno w Polsce większej ilości octanu amylowego i oleju fuzlowego.

4016/23 Firma w New Haven, wyrabiająca gwintarki nawiąże stosunki z firmami handlującemi obrabiarkami metalowemi.

1792/23 Fabryka maszyn rolniczych w Peorja, Ill. oferuje swoje wyroby, jak: traktory pługi motorowe, młockarnie i t. p.

4365/23 Firma nowojorska oferuje płaszcze żołnierskie wełniane.

4451/23 Firma w Chicago wyrabiająca maszyny automatycznie nasypujące i wiążące worki, oferuje swoje wyroby.

4272/23 Firma nowojorska wyrabiająca przybory samochodowe oraz materjały azbestowe oferuje swoje wyroby.

Bliższe szczegóły, dotyczące ofert powyższych można otrzymać w biurze Izby codziennie od godziny 11—4.

Przy zgłoszeniach piśmiennych należy podać numer „Ameryki", oraz numer odnośnej oferty.

Z. KOCZOROWSKI. 3)

W GOŚCINIE U „WUJA SAMA".

(Przeżycia i wrażenia technika polskiego w Ameryce).

(Ciąg dalszy)

W towarzystwie kilkudziesięciu innych zwiedzających, przybyłych z rozmaitych krajów świata, oprowadzony byłem po warsztatach fabryki przez specjalnego przewodnika i informatora. Przechodziliśmy stopniowo poprzez oddziały, w których się wyrabia a następnie składa części motoru i podwozia samochodu.

Warsztaty wydają się być przeładowane robotnikami i panuje w nich piekielny hałas. Składanie samochodu odbywa się tak szybko, iż zdawać się może, że warsztaty nie pracują normalnie, lecz pokazują „sztukę" popisową aby nią zadziwić zwiedzających je przybyszów.

Zasadniczy blok motoru samochodowego posuwa się naprzód na ruchomym stole, a stojący rzędem prawie ściśle jeden obok drugiego robotnicy dokręcają lub dośrubowują coraz to nowe części składowe i dodatki. Części te czerpią oni ze skrzyń i żłobów biegnących wzdłuż będącego w ruchu naprzód stołu. Każdy z tych robotników ma ściśle określoną i bardzo prostą pracę do wykonania przy posuwającym się motorze, a musi się bardzo spieszyć, aby skończyć swoją czynność zanim motor przesunie się do sąsiada.

Po przejściu w ten sposób przez kilkaset rąk motor jest zmontowany całkowicie i przybywa do miejsca, gdzie go umocowują na ramie samochodu, będącej również w ruchu na szerokim pasie bez końca. Do ramy dokręcają potem kolejno koła, budę i wszystko to co się zwie akcesorjami samochodowemi, lecz czynią to tak sprawnie i szybko, iż mniej więcej co każde pół minuty w końcu z ruchomego pasa spada na własne koła, gotowy, zmontowany samochód, który mając już szofera na swem przedniem siedzeniu wyjeżdza o własnych siłach na podwórze fabryczne. Genjalnie obmyślona organizacja pracy stworzyła tu istny cud współczesnego przemysłu.

Całość fabryki Forda możnaby podzielić na dwa działy: w jednym odbywa się wyrób, t. j. przygotowanie wszystkich małych i dużych części samochodu, w drugim składanie tych części. Wyrób części, a więc bloku motorowego, wszelkiego rodzaju śrub, i blach, odbywa się szybko, lecz mniej więcej w ten sposób, jak to się dzieje w innych fabrykach. Obrabiarki są przeważnie automatyczne. Małe traktory samochodowe rozwożą po warsztatach materjał surowy i części od operacji do operacji, ale często większe części przenoszone są automatycznie zapomocą maszyn i łańcuchów biegnących po sufitach sal warsztatowych. Warsztaty mieszczą się w olbrzymim budynku żelazo-betonowym o kilku piętrach, pomiędzy któremi kursują wielkie windy towarowe. Wagony kolejowe z materjałem surowym lub do naładowania gotowymi samochodami zatoczone są po specjalnym torze do wnętrza warstatów. Oświetlenie uskutecznia się głównie z pomocą rurek z parą rtęci, co daje światło niemiłe lecz widocznie praktyczne.

Bardzo oryginalna jest własna centrala elektryczna pędzona przez kilka potężnych motorów spalinowych na gaz wodnoczado-

wy, która obmyślona była podobno przez założyciela fabryki, Henryka Forda.

Całość tego zakładu przemysłowego zadziwia oryginalnością swej organizacji, szaloną szybkością pracy i ograniem produkcji, ale dola poszczególnego, aczkolwiek wspaniale wynagradzanego pracownika, który wykonywuje często przez wiele lat jedną i tą samą auto natyczną czynność jest zaiste nie do pozazdroszczenia.

* * *

Odwiedzając kolejno największe miejscowe zakłady przemysłowe, zwane tu steoretypowo „kompanjami", nawet wtedy gdy są własnością pojedyńczego człowieka, ustaliłem ich cechy najbardziej charakterystyczne: Budynki fabryczne chociaż najnowszej żelazo-betonowej konstrukcji robią często wrażenie budowli prowizorycznych, do tego stopnia lekką jest ich struktura. Wnętrza roją się od maszyn i ludzi w ich zgodnym wysiłku ku osiągnięciu drogą jaknajmniejszej ilości czasu i pracy robotnika maksymum wytworów. Wszystkie urządzenia fabryczne i składy dostosowane do produkcji szybkiej i masowej. Każda fabryka posiada swoje własne biuro najmu pracowników (employment office), gdzie prócz obszernej poczekalni jest biuro rejestracji i bogato uposażony gabinet do oględzin lekarskich kandydata. Będąc sam kolejno raz gościem zwiedzającym warstaty, to znów ubiegającym się o pracę, przekonałem się ponadto doświadczalnie, jak rzeczowo i sprawnie przeprowadza każdą sprawę formalną ten szorstki i chłodny urzędnik biur fabrycznych w Ameryce.

Detroit, podobnie jak i New-Jork posiada swój „business district" t. j. centralną handlową część miasta w której koncentrują się najpotężniejsze pod względem wysokości i rozmiarów „drapacze nieba mieszczące hotele, banki, wielkie sklepy departamentowe a często i teatry. Lecz ta część miasta jest tylko drobną wyspą wynurzającą się z istnego morza małych domków mieszkalnych i płaskich hal fabrycznych stanowiących główną masę Detroit.

Jest coś potwornego w tej mnogości gmachów fabrycznych i w tej niezmiernej masie jednopiętrowych domów mieszkalnych poprzecinanych ulicami dosięgającemi nieraz dziesięciokilometrowej długości. Ogromne uczucie osamotnienia ogarnia wśród tych nieskończonych szeregów domków, w których odbywa się zasklepione w sobie, nieufne do sąsiada lub przechodnia życie ich mieszkańców. Na chodnikach ulicznych ludzi bardzo niewiele, lecz za to wyasfaltowana jezdnia zatłoczona jest często tłumem samochodów i wielkiemi pudłami tramwajów.

Wśród tych nielicznych przechodniów najczęściej spotyka się „drągala" robotnika wałęsającego się w poszukiwaniu pracy lub świętującego za zaoszczędzone grosze. Znacznie rzadziej spotkać można kobietę przechadzającą się lub wracającą z codziennych swych zakupów w poblizkich „groseriach", czyli sklepach spożywczych.

Typ robotnika obok swych cech pewności siebie i siły wyrażanej zamaszystością ruchów i pokaźnym wzrostem posiada tu jednak znamiona człowieka surowego, pozbawionego tych wszystkich cech, które w warunkach europejskich stwarza obycie towarzyskie i kultura narodowa. Czysto materjalistyczne pojęcie i bezlitosna walka o pieniądz ukształtowały tu także specyficzny typ „businessmana" pod wielu względami zbliżony do męskiego typu robotnika w wielkim przemyśle miejscowym. Starannie wygoleni ale szablonowo odziani poświęcają oni zazwyczaj większość swego wolnego czasu na niezwykle długie operacje tualetowe u „barbera" czytanie gazet lub grę w bilard.

Typ kobiety nie ustalił się tu jeszcze, tak różnorodne są ich postacie i fizjognomje. Najwyraźniej uwydatniają się przeraźilwe blondowłose niemki, i w dzielnicy polskiej miasta widuje się piękne, aczkolwiek trochę nieociosane typy ludowe kobiet polskich.

Obserwując je wśród przechodniów ulicznych lub na tle ich życia domowego miałem wrażenie, że są one jakieś osowiałe i smutne wśród nabrzmiałego od „businessu" miasta... Wydały mi się jakby zapomniane wśród tej gorączkowej, nieprzytomnej prawie działalności handlowej, technicznej lub finansowej. Mówiły mi to rozpaczliwe znudzone twarze shopingujących dam lub sportsmenek pędzących gdzieś samotnie bez celu kierowanym osobiście samochodem.

* * *

Chcąc z centrum miasta wydostać się na jego krańce należy przejść około lochu, gdyż przy swej miljonowej prawie ludności rozkwaterowanej po małych domkach Detroit musiało rozpostrzeć się na olbrzymiej powierzchni. Rozrost miasta trwa nadal i dotarłszy wreszcie do jego krańców widać w jaki sposób rozprzestrzenia się ono dalej. Dziwne robią wrażenie te puste pola podmiejskie podzielone już na przyszłe posesje przez doskonale wyasfaltowane ulice i betonowe chodniki. (C.d.n.)

M. H. SZPYRKÓWNA

GWIAZDY I DOLARY

(Ciąg dalszy) 8)

Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone. Copyright by M. H. Szpyrkówna, Warsaw, 1923.

Nawiasem, o ileby u nas która z pań koniecznie postanowiła odwiedzić pokój dla kobiet, bez względu w jakim celu — usiłowałaby to uskutecznić w sposób raczej niedemonstracyjny, i tak wybitne pożegnanie i powitanie przy taknikłej, powiedzmy, okazji, raczejby ją zmięszało.

Amerykanka jednak łatwo się nie mięsza Rumieni się, ile że jest zawsze ślicznie umalowana, również niewidocznie, i, nadto, ma ogromnie dużo pretekstów do odwiedzania tradycyjnego room for ladies. Czegóż bo nie zawiera torebka amerykanki! Sapristi Christi! Imituje dokładnie małą lakierowaną walizkę, a wewnątrz — szaleństwo i orgja kolorów, narzędzi i woni. Róż, bielidło, puder, puszek, ołówki do brwi, pomadka do ust—koniecznie siatka zapasowa na włosy i pachnące saszetki—przeważnie. Atropina do oczu — okazyjnie, ale nie wyjątkowo. No i guma do żucia. Wszystkie te ingredjencje, w ogromnie powiększonym trybie, plus serje szczotek, fryzówek, ręczników i mydeł, zawiera każda poczekalnia dla pań znajdująca się wszędzie, gdziekolwiek większa ilość odwiedzających kobiet jest przewidywana — a więc restauracje, kawiarnie, sklepy, koleje, dworce, ogrody i t. d. i t. d. To, że amerykanka się maluje, jest tak samo wiadome i przez ogół męski zaakceptowane jak to, że europejka się pudruje lub onduluje — i nie budzi ani zdziwienia, ani nawet zwraca uwagę, jako najzwyklejsza część składowa pogotowia tualetowego. Można obserwować z prawdziwą radością prostotę pod tym względem panienek po biurach. Jest coś zupełnie komicznego widzieć taką amerykaneczkę, pilnie wystukującą na swoim Remingtonie owe 10 tysięcy słów na minutę, i która nagle, nie odrywając wcale oczu od roboty, sięgnie gdzieś w głębi sukienki, w okolicę podwiązek (kieszonkę do pudru ostatnia moda amerykakska umieszcza... na reformach) wyciągnie upudrowany puszek w pochewce, przejdzie nim na chybił trafił po buzi raz i drugi, wsadzi znowu w ciekawe schowanko i dalej pisze zaabsorbowana, zupełnie tak, jakby u nas ktoś wyjął mimochodem i schował chusteczkę do nosa, której użycie nie uważa bynajmniej za kokieterję, tylko, nieprawdaż, za potrzebę zgoła naturalną. A że specyfiki mają bardzo ulepszone i wyglądają z tem ładnie, mężczyźni za złe im tego nie biorą wcale. Trzeba też przyznać, że narazie jestto rażące przez porównanie z Europą, gdzie urzędowy przywilej na tę sztukę zagarnęła wyłącznie wiadoma kasta kobiet, ku cichemu zmartwieniu pokrzywdzonej cnoty i cery pozostałych. Samo w sobie jednak, umiejętnie postawione „poprawienie natury" objektywnie brzydkiem nie jest. Owszem — w Ameryce się nie widzi brzydkich kobiet, tłum wygląda zawsze barwnie i ładnie Dlaczego? Może dlatego, że u nas malować się zaczynają przeważnie kobiety wtedy, kiedy więdną— i barwne kolory nie są już w stanie zatuszować ruiny ogólnej, wprowadzonej w wyglądzie przez czas; przeciwnie, rażą, jako coś sprzecznego, co tylko podkreśla upadek. Tam — malują się wszystkie, najbardziej młode i świeże — i dlatego żywsze barwy raczej rozświetniają naturalny wdzięk ich wieku i urody, nie stojąc z niemi w kontraście. Przytem, amerykanka dba o siebie bardzo, i to nietylko powierzchownie nakładaniem barw. Przeciwnie: zna

doskonale hygienę odżywiania, dyety, snu, wentylacji mieszkań, otwartych okien i łazienki, która jej daje przynajmniej tyleż co do wyglądu, ile sztuka, jeżeli nie więcej. Sport, gimnastyka, tańce, masaż, elektryzacja, szczotkowanie, włochate ręczniki i odpowiednie szampuny do rozmaitych zastosowań — są to potężne środki pomocnicze do utrzymania ładnego wyglądu i do walki z wiekiem. Toteż, jak nie widzi się kobiet brzydkich, tak nie widzi się również kobiet starych. Czy dama w białej sukni i kapeluszu zasypanym makami, która idzie przed nami, tak, że widzimy tylko idealnie wygorsetowaną figurę i zgrabne nogi, odsłonięte dość wysoko: czy jest w wieku lat czterdziestu, pięćdziesięciu czy więcej? Trudno powiedzieć. Zaglądamy, mijając ją, możliwie dyskretnie pod kapelusz z makami. Prześliczne białe pukle włosów, starannie ufryzowane, naprawdę nie tracą przy makach, a odsłonięta szyja ukazuje ciało, doskonale wykąpane, jędrne i zdrowe, które jest młode, no co tu robić; młode! Znając życie amerykanki, wiemy, że przedtem, nim wyszła po sprawunki do Broadway lub na spacer na Fifth Avenue, wyglądała inaczej. Ubrana w ściśle okrywający włosy czepeczek i w fartuch, sprzątnęła szczotką zwykłą i elektrycznym odkurzaczem od a do z—i to dokładnie! — całe swoje mieszkanie, kupiła w groserni wszystkiego, co jej potrzeba do obiadu, ugotowała obiad, wzięła kąpiel, zrzuciła pokrowiec, zasiadła na pół godziny przed lustrem—i wyszła jako dama, na której ubraniu, chodzie i wyglądzie może się wzorować każda inna równie dobrze. Czasem nie wychodzi, tylko wyjeżdża własnym automobilem, którym kieruje sama, lawirując pomiędzy setkami innych, bądź poto, aby się przejechać, bądź aby kupić coś zrobionego przez innych, a co jest dla niej potrzebne, bądź też aby sprzedać coś, potrzebnego dla innych, a co przez nią w wolnych godzinach w domu zostało zrobione. Za te oszczędności spłaca kupione na raty meble, mieszkanie, lub dom, co jest najczęstsze, i za nie również jedzie czasem do Kalifornji, Florydy lub w inne pociągające amerykanina miejsca, zupełnie tak jak u nas się jedzie do Zakopanego lub nad morze. Z tą różnicą, że u nas się zwykle jedzie na kredyt, a później wypłaca, i że — mało kobiet-mężatek myślałoby o tem, aby *na swoje* przyjemności zabezpieczyć się *swemi* pieniędzmi — poza wspólną kasą domową, zasadzającą się na zarobku męża. Tak, jak mało która kobieta, mając automobil, odwoziłaby nim do sklepu zrobione w domu na pończoszarce trykotaże, sztuczne kwiaty lub hafty, za które jej sklep, dość oszczędnie nadto, zapłaci. Automobil wyłącza u nas zarobkowanie, zaś zarobkowanie automobil, nieprawdaż? Tak samo: skoro sprzątanie dywanów i zmywanie kuchennych, a tak! — naczyń, to nie wygorsowa suknia i nie wygląd damy, która, co gorzej, *czuje się* damą, mimo owe rondle! Takby sądzono u nas. Tam—inaczej. Dobrobyt idzie w parze z zarobkowaniem, zaś pani domu jest gospodynią w kuchni, a damą w salonie. Może właśnie dlatego dobrobyt wogóle jest tak powszechnem zjawiskiem wśród tych, którzy mieli sposobność i siły, aby przetrwać okres krwawego dorabiania się pierwszych, twardych dolarów? Potem zaklęta książeczka bankowa, talizman każdego obywatela, od wyrobnika do bogacza— mozolne, skombinowane wysiłki, by co tydzień z pensji do tej książeczki bodaj parę dolarów, bodaj dolara, ale dopisać, dopisać koniecznie, za wszelką cenę!—Nawet obliczanie czasu wypłatami, od „pejdy" do pejdy — i krańcowy szczyt marzeń, wykwitających z coraz to okrąglejszej cyfry wkładu: własny dom — „properta". Niech ta properta będzie nabyta na najdłuższe spłaty, niech będzie jaka chce — ale niech będzie!... Amerykanin, miejscowy czy emigrant, przeniesie się do tych własnych kątów, długo będzie planował i obliczał, co, jak i gdzie urządzi, urządzi to tak, jak uplanował i przeważnie tak, jak jego sąsiad z lewa, z prawa lub z naprzeciwka — wyściele kuchnię i kurytarze od kantu do kantu linoleum, wyłoży salonik „karpetem" — dywan jest nieodłącznym atrybutem — kupi victrolę, która mu pieje narodowe „kawałki" rano, w dzień i o każdej porze — zasieje przed domem trawnik, co wieczora będzie go pieczołowicie polewał długim gumowym wężem, okopywał, zdobił w klomby i pielęgnował na wszelki sposób — i dopiero wówczas odetchnie, jak ten, który wszedł na najtrudniejszy wykrot zamierzonej drogi. „Properta" kupiona! Miejsce na ziemi, gdzie tyle ludzi się tłucze bez miejsca, zdobyte — Evviva!

* * *

(C. d. n.)

KSIĘGARNIA M. ARCTA

NOWY-ŚWIAT 35

Otrzymała na skład główny następujące książki
NIEZBĘDNE
dla każdego
EKSPORTERA i IMPORTERA:

STANDARD BUSINESS DICTIONARY

Objaśnia wszystkie terminy, zdania, wyrażenia używane w rachunkowości, handlu, transporcie, bankowości, finansach, ekonomji, historji i prawodawstwie — 477 stronic w oprawie płóciennej $ 5.20.

A.B.C. Code — Fifth Edition, 1420 str. w opr. płóc. $ 25.00.

BENTLEY'S Code 340 str. dużego formatu w opr. płóc. $ 11.00.

Powyższe Cody opłacają się w bardzo krótkim czasie, gdyż oszczędność na depeszach wynosi conajmniej 50%.

Księgarnia M. ARCTA poleca swój bogato zaopatrzony sortyment polski i zagraniczny, a pomiędzy innemi świeżo otrzymaną książkę angielską z równoległym tłum. polskim:

THE STORY OF AMERICA
HISTORJA AMERYKI

ułożona przez Alberto Pecorini, tłumaczona przez Helenę Adamowską, wydana przez Stowarzyszenie Dam Kolonjalnych w Stanie Massachusetts — w ozd. opr. płóc. 15.000.000 Mkp.

Największy dziennik prowincjonalny

Najpoczytniejsze pismo w wielkiem Województwie Lubelskiem i na przyległych Kresach

„EXPRESS LUBELSKI"

wydawany w wielkim, stołecznym rozmiarze, redagowany żywo i interesująco, mający świetnie zorganizowaną służbę informacyjną

Jest wskutek swej poczytności we wszystkich sferach

Nailepszem miejscem ogłoszeń dla firm Handlowo-Przemysłowych

Adres wydawnictwa: LUBLIN, „EXPRESS LUBELSKI"
Ulica KOŚCIUSZKI Nr. 8, Skrzynka Pocztowa Nr. 117.

„WOLA LUDU"

Organ Zarządu Głównego Polskiego Stronnictwa Ludowego

Ilustrowany Tygodnik Polityczny, Społeczny i Gospodarczy.

„Wola Ludu" wychodzi co niedzielę, pod naczelną redakcją posła Aleksandra Niedbalskiego, w objętości 16 dużych stron z obfitemi i najnowszemi ilustracjami. W każdym numerze podaje artykuły z życia państwowego i chwili bieżącej, posiada bogaty dział „Ze świata".

„Wola ludu" ogłasza w skróceniu Nowe ustawy sejmowe i rozporządzenia Rządu.

„Wola Ludu" dołącza dla swych czytelników, co miesiąc bezpłatne dodatki „Wiedzę" miesięcznik bezpartyjny, popularno-naukowy dla wszystkich „Siewbę" dla młodzieży i ludzi młodych, „Gazetę Kobiecą" dla kobiet, oraz „Słonko" dla dzieci małych.

Prenumerować "Wolę Ludu" może każdy kto napisze do Administracji i prześle pieniądze — wpłacać je można w każdym urzędzie pocztowym konto czekowe P. K. O. Nr. 1707.

Adres Redakcji i Administracji „WOLI LUDU"
Warszawa, ul. Marszałkowska 68, tel. 107-12.

Na żądanie wysyłamy bezpłatne numery okazowe.

OKAZJA DLA KOOPERATYW I KUPCÓW

DO SPRZEDANIA ZE SKŁADU W WARZAWIE

WIĘKSZA PARTJA MYDEŁ TOALETOWYCH

Różnych gatunków

ORAZ WODY KOLOŃSKIEJ i KWIATOWEJ

Pierwszorzędne wyroby

Wiadomość w Administracji „Ameryki" tel. 26-62.

„GAZETA LUDOWA"

Ilustrowany tygodnik ludowy

podaje w każdym numerze artykuły o najważniejszych sprawach politycznych, gospodarczych i kulturalnych wsi polskiej;
Przynosi stale obszerne „Listy ze wsi";
Daje osobny, bardzo obszerny dział gospodarczy;
Drukuje powieść; Ma zapewnione współpracownictwo najwybitniejszych polityków i działaczy ludowych;
Jest najtańszym ilustrowanym tygodnikiem ludowym, wychodzącym w Warszawie.
Warunki przedpłaty: w Polsce 2.400 000 mk. kwartalnie; we Francji 40 franków francuskich rocznie, 20 fr. półrocznie; w Ameryce 2 dolary rocznie, 1 dolar półrocznie.

Adres: **Warszawa, ul. Ś-to Krzyska Nr. 17.** Konto czekowe P. K. O. Nr. 15.

Sprzedam 12 akcji „Polish Navigation Co." w Nowym Jorku (10 dol. nom. każda); 10 akcji „Hegewish Chemical Works" w Chicago (po 10 dol. nom.) i 3 akcje po 30 dol. nom. firmy „Polish Book Importing Co." w Nowym Jorku—najwięcej dającemu. Oferty dla „J. Dal." proszę przesyłać do Administracji „Ameryki".

Zdolnych akwizytorów do zbierania ogłoszeń i prenumeraty za prowizją poszukuje we wszystkich miastach polskich Administracja „Ameryki". Po bliższe informacje prosimy zgłaszać się listownie lub osobiście między 5-6.

Mam 2 500 dolarów, którę wypożyczę za pewną gwarancją na rozwinięcie istniejącego przedsiębiorstwa handlowego lub przemysłowego. Oferty do Administracji pisma dla „Polaka z Ameryki".

Kupię 6-procentową polską pożyczkę dolarową z 1920 roku. Oferty z podaniem ilości i żądanej ceny proszę kierować do Administracji „Ameryki" dla „Amerykanina".

Młody, zdolny rutynowany Bankowiec-zbożowiec poszukuje kapitalisty celem otwarcia Banku Rolniczo-Handlowego. Łaskawe oferty pod cyfrą „600" uprasza się przysyłać do Administracji „Ameryki".

AMERYKAŃSKA

MASZYNA ELEKTRYCZNA DO PRANIA

Okazyjnie do sprzedania
Wiadomość w Amerykańsko Polskiej Izbie Handlowej, Nowy Świat 74. (Pałac Staszica) Telefon: 26-62.

Z 12.000 Dolarów

poszukuję rzutnego handlowca, dla **uruchomienia solidnego przedsiębiorstwa przemysłowego** w Warszawie z wysokim oprocentowaniem i amortyzacją kapitału. Zbyt produkcji zapewniony. Życzenie porozumienia się proszę adresować do Administracji „Ameryki" — dla „E".

Dwa oryginalne obrazy

MURILLA i VAN DYCKA

Sprzedam Amatorowi

Informacji udzieli Sekretarjat Amerykańsko Polskiej Izby Handlowej, Warszawa, Nowy Świat 74 (Pałac Staszica) Tel.: 26-62.

KAPITALISTA

Posiadający do dyspozycji **Kilka tysięcy dolarów** wypożyczy takowe dla finansowania pewnego przedsiębiortwa przemysłowego lub handlowego, Zgłoszenia adresować do Administracji „Ameryki" dla „Kapitalisty"

Najstarsze pismo ludowe na Pomorzu

GAZETA GRUDZIĄDZKA

Wychodzi 3 razy tygodniowo; w poniedziałek, środę, piątek
Ilość abonentów wynosiła według notarjalnego poświadczenia 1914 r. 128, 258.
Notarjalnie potwierdzony przyrost abonentów Gazety Grudziądzkiej od listopada 1921 roku do 13. marca 1923 roku wynosi 29. 100.
Rozchodzi się nietylko w Polsce, lecz po wszystkich krajach Europy, jak również w Ameryce, Australji, Brazylji, Argentynie.
Ogłoszenia odnoszą zawsze pożądany i niezawodny skutek.
Redakcja i administracja:
GRUDZIĄDZ-TUSZEWO (Pomorze)

NAJSTARSZE PISMO PROWINCJONALNE.

„GAZETA KALISKA"

Wychodzi codziennie, podaje najświeższe wiadomości z całego świata i odzwierciadla życie ziemi kaliskiej.

Najodpowiedniejszy organ dla ogłoszeń.
Własne zakłady drukarskie poruszane elektrycznością, maszyny do składania. Asortyment czcionek.
KALISZ, Al. Józefiny 1 (dom własny)